Rok wyd. XXIV | Nr 3 (215) | ISSN 2300–0279

Misericordia

Kwartalnik Archidiecezjalnego Sanktuarium Miłosierdzia Bożego

Lipiec–Wrzesień 2024

Proszę

Agnieszka Przybyszewska

Proszę

W rozwoju człowieka, małego dziecka jest etap „daj!" – bo chcę, bo potrzebuję, bo tak ma być. Z tego etapu, przy udziale rodziców na ogół wyrastamy i prawidłową postawą staje się wówczas, że uczymy się używać słowa „proszę". To słowo ma oczywiście wiele odniesień, gdyż za jego pomocą możemy kogoś zaprosić do czegoś, zwrócić się o pomoc, dawać, służyć komuś, ale też wymagać, czy bronić – wstawiać się za kimś. Piękne słowo, które podkreśla dojrzałość człowieka, jego rozwój emocjonalny i społeczny.

W relacji do Boga „proszę" jest formą zaufania, że jest Bóg, który nas wspiera i ze zrozumieniem podejmie naszą sprawę. To może być błaganie o pomoc, ale też zaproszenie Go do naszego życia z ufnością dziecka. Często w modlitwie prosimy Boga o różne rzeczy. Jednak nie zawsze dostajemy to, czego pragniemy. Myślimy wtedy, że Bóg nie wysłuchał naszej modlitwy, może zostaliśmy ukarani, albo wręcz nie ma Boga. Jednak Bóg jest i patrzy na nas z zupełnie innej niż nasza perspektywy. Może jest tak, że gdyby wysłuchał naszej prośby nie byłoby to dobre dla nas. Bo on widzi szerzej, widzi przyszłość i przeszłość. Dlatego lepiej oddać sprawę w Boże ręce. On najlepiej wie czego nam potrzeba.

Wakacje to czas zmian w obsadzie duszpasterskiej wielu parafiii. Nasze Sanktuarium także opuścili księża pallotyni: ks. Krzysztof Śniadoch, ks. Sławomir Radulski oraz ks. Dariusz Zalewski. Dwaj ostatni zostali wyznaczeni do posługi proboszczowskiej. Natomiast ks. Krzysztof, pracujący w naszej parafii 9 lat, czyniac wiele dobrego szczególnie dla młodzieży, rodzin i małżeństw jako terapeuta, oraz tworząc grupę męską, po ukończeniu studiów został skierowany do Ośrodka Terapeutycznego przy ul. Skaryszewskiej. Natomiast do parafii przybyli nowi księża, których przedstawiamy w krótkiej prezentacji.

Zapraszamy do lektury nowego wydania Misericordii.

Spis treści

Proszę	2
Odbyło się w naszym Sanktuarium	3
Witamy nowych księży	4
Proszę prosić	6
Pielgrzymka do Włoch o proszonym chlebie	9
Naród upomina się o życie	16
Czerwone maki	18
Gagatek z Ołtarzewa	20
Demokracja w szkole	24
Panie Ulma, ja proszę o życie	28
Pustynia cz. II	37
Jak prawidłowo odmawiać Różaniec	42

Misericordia

Kwartalnik Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Ożarowie Mazowieckim
ISSN 2300–0279

Redaktor naczelna: Agnieszka Przybyszewska

Redakcja: ks. Michał Orzoł SAC; Monika Błażejak; Dorota Wrotnowska-Nowak

Autorzy: Piotr Banasiak, Ewa Kotarska, Marta Kozak, ks. Grzegorz Marczuk SAC, Marek Nowak

Skład i łamanie: Maciej Przybyszewski

Fotografie: arch. redakcji,

Adres redakcji:
Parafia Miłosierdzia Bożego
ul. Poznańska 183, 05–850 Ożarów Mazowiecki
e–mail: przybyszewska.redakcja@gmail.com

Druk: APOSTOLICUM Sp. z o.o.
ul. Wilcza 8, 05-091 Ząbki
tel. 22 771 52 30, 501 637 128

**Agnieszka Przybyszewska - Redaktor naczelna,
wraz z byłym i obecnym składem Redakcji Misericordia**

Odbyło się w naszym Sanktuarium

Szanowni Państwo

Basia Lang zmagała się z wieloma chorobami, jedna z nich pokonała ją i wezwana odeszła do Domu Pana. Jej codzienne życie zapewne nie było łatwe, ale starała się nie zamykać w swoim świecie lecz wychodzić do ludzi i dzielić się swoim talentem i umiejętności.

Basia była wieloletnim członkiem naszej redakcji Misericordia. Właściwie można powiedzieć, że współuczestniczyła w jej reaktywacji po kilku latach nie wydawania. Ksiądz Przemysław Krakowczyk, który odbudowywał zespół redakcyjny, zaangażował Basię aby składała naszą gazetkę, ilustrowała ją i dokonywała korekty tekstu. Robiła to społecznie z wielkim zaangażowaniem, miłością i kreatywnością. Basia pisała także artykuły, dzieląc się swoją wiarą i wiedzą z Czytelnikami.

Choć nasze drogi z czasem się rozeszły, to działalność Basi, jej twórcze zaangażowanie uczyniły ze zwykłej czarno białej gazetki parafialnej, gazetę na wysokim poziomie nie tylko merytorycznym, ale także graficznym i ten poziom staramy się utrzymać do dziś. Można by powiedzieć, że Basia zastała gazetkę czarno białą, wydawaną w najprostszej możliwej formie, jak większość gazetek parafialnych a zostawiła ją barwną i wyróżniającą się na tle innych gazet, a wręcz dorównującą swoim poziomem gazetom ogólnopolskim.

Dziękujemy Ci Basiu za Twój wkład pracy, trud jaki włożyłaś, swoje zaangażowanie, poświęcony czas i serce, by Misericordia stawała się coraz ciekawsze w odbiorze.

W pogrzebie Basi wzięło udział pięciu księży, główny celebrans ks. Bartosz Olszewski SAC oraz czterech franciszkanów z Niepokalanowa.

Witamy nowych księży

Ks. Wojciech Juszczuk SAC

Jestem pallotynem od 1987 r. – wtedy złożyłem pierwszą konsekrację w Stowarzyszeniu. Pochodzę z Lubelszczyzny, z małego powiatowego miasteczka Parczew, gdzie najchętniej wracam i najlepiej odpoczywam. Lubię muzykę, chętnie słucham jazzu, ale też z przyjemnością różnych innych gatunków muzyki. Interesuję się sportem, chętnie oglądam i gram w siatkówkę, a w zimie jeżdżę na nartach. Pracowałem w różnych miejscach w Polsce i na świecie.

Ks. Krzysztof Pietrzyk SAC

Święcenia kapłańskie przyjąłem Ołtarzewie w 2014 roku. W naszej parafii jestem od sierpnia br. i pełnię funkcję wikariusza. Uczę religii w Szkole Podstawowej w Duchnicach oraz w Dwujęzycznej Szkole Podstawowej *Human to Human* w Ożarowie Mazowieckim. W parafii jestem odpowiedzialny za Liturgiczną Służbę Ołtarza. Lubię oglądać snooker i jeździć rowerem po bezdrożach.

Ks. Marcin Krzysztoszek SAC

Urodziłem się w cudownie zalesionym Otwocku. Swoją drogę jako pallotyn rozpocząłem w 2003 roku. Święcenia przyjąłem w 2012. Dotychczas posługiwałem we wspólnotach w Sierpcu, Świętej Katarzynie oraz Kielcach. W parafii prowadzę przygotowanie do sakramentu bierzmowania, oraz współprowadzę przygotowanie do I Komunii św. Cenię sobie czas spędzony z książkami (zwłaszcza Terry'ego Pratchetta) i bluesem.

Ks. Marek Maliszewski SAC

Pochodzę z Otwocka i jestem Pallotynem od 28 lat, często się uśmiecham i zasadniczo mam dobry humor. Ponad 20 lat posługiwałem duszpastersko w Niemczech, po czym w roku 2023 wróciłem do Ojczyzny. Chętnie śpiewam i słucham też chętnie muzyki dawnej. Po moim pokoju jeździ mała lokomotywa z wagonikami w skali 1:87 czyli H0, a gdy spaceruję, oglądam z wielką ciekawością przejeżdżające przez stację Ożarów Mazowiecki pociągi: te wolne i te bardzo szybkie – czyli lubię spacery i interesuję się koleją.

Ks. Michał Orzoł SAC

Proszę prosić

Jak to dobrze, że w jedynej „podyktowanej" nam przez Jezusa modlitwie są same prośby. Gdyby nie to, być może od wielu ludzi Kościoła usłyszelibyśmy, że Boga nie trzeba/ nie wolno o nic prosić, bo On sam dobrze wie, czego nam potrzeba. Właściwie to mimo istnienia modlitwy Pańskiej słychać głosy, że Pan Bóg to nie automat do spełniania życzeń, więc ostrożnie z tym ciągłym proszeniem Go o coś.

Przyjrzyjmy się, proszę, naszemu „proszę" skierowanemu ku Bogu i do człowieka.

Nadmiar „proszę"

Gdy przyjrzymy się „proszeniu" w języku polskim, to można stwierdzić, że jest ono wręcz nadużywane. Ale dzieje się tak głównie w momentach, kiedy o nic tak naprawdę nie prosimy. Możemy go użyć gdy jesteśmy zaskoczeni i niedowierzamy w to, co słyszymy: „że co proszę?!", „no proszę, kto by pomyślał". Przy obiedzie, gdy odpowiadamy na czyjąś prośbę o podanie półmiska z jakimś łakociem możemy powiedzieć „ależ proszę" mimo, że o nic nie prosimy. Słowo „proszę" pojawia się gdy rozmawiamy z kimś, z kim nie wiążą nas osobiste stosunki. Padają słowa „proszę pana" mimo, że i w tym przypadku nikt nikogo o nic nie prosi. Gdy odbieramy telefon również możemy rzucić słowem „proszę" zamiast międzynarodowego „halo". Gdy niedosłyszymy czyichś słów, to zamiast niegrzecznego „co?", z naszych ust może paść grzeczne „proszę?". Gdy ktoś zapuka do drzwi, to słowo „proszę" staje się naszą zgodą na to, aby osoba po drugiej stronie mogła do nas wejść. Pozwalamy sobie na ironizowanie i pokazanie swojej racji mówiąc „proszę, proszę". Kiedy jednak przechodzimy do podstawowego znaczenia tego słowa, to zaczynają się schody.

Niedobór „proszę"

Proszenie jest zgodą na to, że jestem na tyle słaby, że potrzebuję pomocy. To kluczowy problem, który dotyka nas i naszą, gdzieś tam głęboko schowaną pychę. Rozmawiałem z pewnym człowiekiem, który całe swoje życie był biedny. Powiedział mi, że bardzo chciałby wygrać w totolotka kilka milionów, żeby już nie musiał nikogo prosić o pomoc. To mocno zastanawiające, że nie marzy o bogactwie, aby nigdy nie chodzić głodnym, żeby mieć już zawsze dach nad głową, żeby móc wesprzeć swoje dzieci na początku ich dorosłego życia. Nie, on marzy o bogactwie, aby nigdy już nie mówić słowa „proszę".

Tę naszą chęć niezależności przenosimy niestety często na relację z Panem Bogiem. I ze wszystkich sił staramy się żyć tak, aby Mu głowy nie zawracać. Tymczasem Jego głębokim pragnieniem

jest człowiek wierzący, który zasypuje Go prośbami. Prośby bowiem świadczą o zaufaniu Bogu i przeświadczeniu, że On ma moc oraz chęć pomocy nam. Jeśli nie wierzymy, że dana osoba może nam pomóc, to nawet nie zadajemy pytania. Kierując swoją prośbę do Boga najpierw przyznaję się do tego jaki jestem (w tym przypadku jestem tak słaby, że coś przekracza moje siły i możliwości), a następnie wyrażam wiarę w to, że Bóg jest dobrym Ojcem, który ma siły i możliwości, żeby mi pomóc.

Zawsze wysłuchana

Wzorem idealnej modlitwy prośby jest modlitwa Jezusa w Ogrójcu. Syn Boży najpierw mówi jakie jest Jego pragnienie (tutaj tym pragnieniem jest wolność od cierpienia, które się zbliża), ma nadzieję, że Jego Ojciec też tego chce, ale zarazem wyraża pragnienie, aby to wola Ojca się spełniła, nawet jeśli różni się od Jego woli. My podobnie – warto abyśmy stanęli przed Bogiem pełni szczerości, wolni od fałszywej pokory, mówiąc Mu o naszych pragnieniach. Wśród nich jest zapewne wolność od cierpienia, wolność od kłopotów i trudności, chęć posiadania tego, co według nas będzie bardzo dobre. Unikając mówienia o swoich pragnieniach w pewnym sensie oszukujesz Boga. Za każdą jednak prośbą powinna iść zgoda na własną niewiedzę dotyczącą tego, co dla nas najlepsze, i zaufanie Bogu, że On tę wiedzę posiada. Dlatego wysłuchuje naszych próśb w nieco innym sposób niż sobie zaplanowaliśmy.

Zawsze otrzymujemy to, o co prosimy, ale nie zawsze tak, jak byśmy chcieli. Bardzo często to, o co prosimy i co z naszej perspektywy wydaje nam się dobre, w wymiarze wieczności może okazać się zgubne. Taką prośbę Bóg również wysłuchuje, ale zazwyczaj w sposób różny od naszych oczekiwań. Często owocem, który otrzymujemy, jest wewnętrzna przemiana serca, oczyszczenie motywów naszych próśb, jeżeli to, o co prosimy wypływało z nieuporządkowanych pragnień, pychy, egoizmu. To jest chyba największym cudem takiej pozornie niewysłuchanej modlitwy.

Problemy, a nie rozwiązania

Na modlitwie prośby zdecydowanie lepiej jest skupić się na przynoszeniu Bogu problemów, niż na gotowych rozwiązaniach. Problem z modlitwą prośby jest taki, że to, co zaprząta najbardziej nasze głowy to nasze gotowe rozwiązania, które Bogu nie są do niczego potrzebne. ▶▶

Istotą modlitwy prośby jest ufne przedstawianie Mu tego, czego nam brak i co jest naszym problemem, ale sposób w jaki to Bóg rozwiąże nie jest już w naszej kompetencji. Po co sobie zaprzątać głowę tym, kiedy, jak i czy w ogóle Bóg coś zrobi? Bóg wie, co ma robić. Nie musisz Go uczyć. Ty tylko mów Mu, że Go potrzebujesz, ufaj i czekaj.

Proszę dzwonić do skutku

W jednej z przypowieści Jezus porównuje się z sędzią, który pomaga proszącej kobiecie tylko dlatego, że jest natarczywa i nie ustaje w proszeniu, nawet nocą. Natarczywość w wołaniu do Boga jest wyrazem naszej wiary w to, że tylko Bóg jest naszym jedynym ratunkiem. Jeśli wiesz, że pomoc możesz uzyskać tylko i wyłącznie od Boga, to nie odejdziesz od Niego i nie będziesz szukać pomocy gdzie indziej. Natarczywe proszenie jest więc wyrazem wiary w to, że tylko Bóg może być dla nas ratunkiem. Wytrwałość modlitwy jeszcze bardziej potwierdza tę wiarę. Bywa tak, że w sprawie, która ciągnie się latami oczekujemy od Boga nie tylko, żeby sobie z nią poradził, ale żeby zrobił to w kilka dni. Gdy to trwa dłużej, prośba zanika.

A właśnie, że wypada

Ile razy można do Boga mówić „proszę”? Gdzie jest limit? Dzieci nie znają słowa limit, więc ich modlitwa bywa najdoskonalsza. Nie znają określeń „to nie wypada”, „nadużyłem Twojej dobroci”, „głupio się Ci tak narzucać cały czas”. Jeszcze raz przypomnę, że wzorcowa modlitwa, która otrzymaliśmy w prezencie od Jezusa, a więc modlitwa Pańska, w swoim składzie ma same prośby. Powtarzaj wytrwale, proś, wierząc, że Boża wola jest dobra, bo i sam Bóg jest dobry. Czasami na modlitwie trzeba krzyczeć za Jezusem jak trędowaty lub uboga wdowa i poczuć się w swoim cierpieniu tak zdesperowanym, że tylko samo wołanie Jezusa będzie twoją modlitwą. Nie chodzi jednak o zmianę woli Bożej, bo ona przez moment nie była zła, ale o zmianę modlącego się. Im bardziej przypominasz w modlitwie dzieci, tym większa szansa, że Twoje „proszę” będzie miało wpływ na Twoją codzienność.

Tak, Bóg to nie jest automat do spełniania naszych życzeń, ale bardzo proszę nie wylewać dziecka z kąpielą. Proszę prosić, a dobry Ojciec się o nas zatroszczy.

Dorota Wrotnowska-Nowak

Pielgrzymka do Włoch o proszonym chlebie

Pielgrzymka do Włoch nie jest czymś nadzwyczajnym. Pontyfikat naszego rodaka, papieża Jana Pawła II, otworzył Rzym i całe Włochy na polskich pielgrzymów, którzy w latach 1980-tych, a szczególnie 1990-tych, tłumnie ruszyli do Italii.

I ja swoją pierwszą pielgrzymkę do Włoch odbyłam w 1995 r. Była to pielgrzymka niezwykła – 2 autokary, w sumie 98 osób, o proszonym chlebie! Czyste szaleństwo, które standardową pielgrzymkę pokrywało kolorytem Wielkiej Przygody! Pielgrzymki o proszonym chlebie praktykowane były przed wiekami, w czasach dawno minionych. Pielgrzymowali w ten sposób biedacy i wielcy pokutnicy. Pątnicy szli pieszo do miejsc świętych, po drodze prosząc o chleb i kąt do spania. W zamian oferowali modlitwy za dobroczyńcę, połączone z ofiarą pielgrzymiego trudu. Ta nasza pielgrzymka była także niezwykła, ponieważ wszyscy jej uczestnicy doznawali działania Opatrzności Bożej w praktyce, bo o to też chodziło.

Był początek marca 1995 r. Od kilku tygodni „Radio Maryja" organizowało ogólnopolską pielgrzymkę do Rzymu na spotkanie z Ojcem Świętym. Komunikaty o tworzących się grupach pielgrzymkowych w różnych miastach nadawane były między audycjami radiowymi. Nie brałam tych komunikatów do siebie. Nie była to nawet kwestia pieniędzy, raczej niechęci do tego typu wyjazdów, gdzie wszystko jest zorganizowane, bez niespodzianek i elementów przygody.

W ten pamiętny poniedziałek oczekiwałam na wykład radiowy doktor Ewy Dąbrowskiej, ponieważ interesowałam się wtedy makrobiotyką. Słuchając „Radia Maryja", prałam ręcznie swetry. Pranie skończyłam przed końcem wykładu, założyłam już kurtkę i z niecierpliwością czekałam na koniec audycji, aby pójść do ogrodu i wywiesić mokre rzeczy. Gdy doktor Dąbrowska żegnała się ze słuchaczami, wyłączyłam radio, złapałam wiadro z mokrymi swetrami i wybiegłam z mieszkania. Nie doszłam jeszcze do sznura w ogrodzie, gdy coś ▶▶

kazało mi wrócić do domu i włączyć radio. Nie analizowałam tej myśli, wróciłam i włączyłam radio. Zaczął się właśnie komunikat siostry Józefy. Był to jedyny komunikat, jak się później okazało. Szybko zapisywałam podawane informacje – wiedziałam, że to wiadomość dla mnie! Oczywiście, nie usłyszałam, że to pielgrzymka pokutna za dzieci poczęte, a nienarodzone, ale usłyszałam, że bez zapewnionych noclegów i wyżywienia, ze zdaniem się na Opatrzność Bożą, no i do Rzymu, na spotkanie z Ojcem Świętym! Wyjazd za 3 tygodnie, czas pielgrzymki 10 dni, koszt 250 zł. Serce podskoczyło mi ze szczęścia – w perspektywie zobaczyłam Wielką Przygodę. Pomyślałam też, że ludzie, którzy decydują się na taką podróż, muszą być szaleni, a więc ciekawi. Nie mówiąc już o Organizatorce tej pielgrzymki, jak się później okazało – gdańskiej obrończyni życia nienarodzonych, doktor psychiatrii, filigranowej franciszkance i wędrownej misjonarce, około sześćdziesięcioletniej siostrze Józefie. Bardzo chciałam ją poznać…

Decyzję wyjazdu podjęłam, zanim siostra Józefa skończyła czytać swój komunikat. Chwyciłam za słuchawkę telefonu i wykręciłam podany numer. Dodzwoniłam się od razu. Na wszelki wypadek „zaklepałam" trzy miejsca i potem zaproponowałam wyjazd moim ożarowskim przyjaciółkom – Danusi i Oli. Zgodziły się entuzjastycznie. O tej pielgrzymce mówiłam jeszcze paru innym znajomym, ale żadna z nich nie zdecydowała się na ten wyjazd. Dziesięcioletnią córką i domem obiecała zająć się moja Mama.

Na tej pielgrzymce byli ludzie z całej Polski, w wieku od 18 do 78 lat, wszystkie profesje – od rolnika do studenta i lekarza. Trzon pielgrzymki wyjeżdżał z Gdańska, w Łodzi dosiadali się ludzie z centralnej Polski, a w Częstochowie – z Polski południowej. My jechałyśmy do

Łodzi. Wsiadając w Warszawie do zatłoczonego pociągu, trafiłyśmy do przedziału, gdzie jechały dwa małżeństwa z naszej pielgrzymki. Rozpoznaliśmy się w ciągu pięciu minut, chyba po radości, jaka z nas biła.

W Łodzi, pod kościołem jezuitów, czekaliśmy dość długo na autokary z Gdańska. Gdy zobaczyłam towarzyszy podróży i posłuchałam, co mówią, przeszył mnie dreszcz grozy. Byłam chyba najzdrowszą uczestniczką, choć na początku tego tygodnia i ja się źle czułam i coś tam zażywałam. Prawie wszyscy byli przeziębieni, wiele osób było z gorączką, lub miało kilka dni temu wysoką gorączkę, wiele osób brało antybiotyki, takie jakie miało, bo przecież nikt nie szedł do lekarza… No, pomyślałam, jak się te bakterie i wirusy wymieszają, to dopiero będzie pomór… Ale nie. Mimo trudnych warunków podróży i spania na włoskich, marmurowych posadzkach, przeraźliwie zimnych, ludzie zdrowieli. Czemu to przypisać? Na pewno bardzo

chcieli być zdrowi. Może dobrze zrobiła zmiana klimatu – medycyna zna takie przypadki. A może tak działa Opatrzność Boża, gdy człowiek odrzuci wszystkie zabezpieczenia i zda się na Boga?

Autokary spóźniły się pięć godzin. Były w złym stanie technicznym i co jakiś czas psuły się w drodze. Popis dały już pierwszego dnia. Marnie to rokowało. Do Częstochowy, gdzie mieliśmy pierwszy nocleg, przyjechaliśmy późną nocą. Było kilka miejsc noclegowych u sióstr zakonnych, a pozostali z nas mieli spać na hali produkcyjnej zakładu trumniarskiego. Wszyscy jednogłośnie zdecydowaliśmy, że do sióstr idą osoby najstarsze i najbardziej chore. Gdy jako jedna z ostatnich weszłam do zakładu trumniarskiego, znalazłam niewielki kawałek podłogi, tuż przy drzwiach, pod umywalką. Spało się wyśmienicie!

Umówiliśmy się, że przyjdziemy na Jasną Górę na godzinę 6, na odsłonięcie cudownego obrazu. Był 25 marca i potem mieliśmy wziąć udział w Sympozjum Ruchów Obrony Życia. Obudziliśmy się wszyscy o godzinie 5, było jeszcze ciemno. I tu spotkała nas niespodzianka – brama zakładu była zamknięta, a murowany płot miał chyba ze 2 m wysokości. Przy pomocy mężczyzn, którzy mnie podsadzili, udało mi się pokonać płot i sprowadzić pomoc. Zdążyliśmy na odsłonięcie obrazu. Na sympozjum Ruchów Obrony Życia dowiedziałam się o duchowej adopcji dziecka poczętego i zaczęłam ją praktykować.

W Częstochowie dołączył do nas ksiądz kamilianin. Przez całą pielgrzymkę oboje, z siostrą Józefą, prowadzili przeciekawe konferencje w autokarach i dawali świadectwa swojego życia z Bogiem. Po wyjeździe z Częstochowy, nawigację przejęła Opatrzność Boża. Łagiewniki nie były w planie pielgrzymki, ale gdy siostra Józefa zorientowała się, że wszyscy uczestnicy są już w komplecie, postanowiła jechać do bliższego przejścia granicznego, w Chyżnem. Przed Krakowem siostra zapytała nas, czy jedziemy do Łagiewnik na grób błogosławionej Faustyny Kowalskiej? Bardzo chciałam tam jechać, ale większość uczestników pielgrzymki była innego zdania – chcieli jak najszybciej znaleźć się za granicą. Siostra Józefa zaproponowała wtedy, żebyśmy się pomodlili do Matki Bożej Dobrej Rady (3 x „Matko Boża Dobrej Rady, udziel mi dobrej rady" i 3 x „Zdrowaś Maryjo"). Wielokrotnie przekonałam się o sile i skuteczności tej modlitwy). Po odmówieniu modlitwy siostra spytała: „I co Matka Boża wam poradziła?" Wtedy jakaś uczestniczka pielgrzymki podeszła do mikrofonu i zapytała, czy może coś opowiedzieć.

Siostra Józefa udzieliła jej głosu. Usłyszeliśmy, że osoba ta wybierała się kiedyś do Łagiewnik, a była to zima. Sąsiadka poprosiła ją, aby przywiozła ▶▶

jej płatki kwiatowe, leżące przy grobie błogosławionej siostry Faustyny. Płatki te miały być lekarstwem dla syna sąsiadki, chorującego na astmę. Gdy dotarła na grób siostry Faustyny, zobaczyła, że nie ma tam żadnych płatków, ani nawet żadnych kwiatów. Martwiła się, co powie sąsiadce. Pomodliła się i poszła zamówić Mszę św. Już miała wracać do domu, gdy coś kazało jej wrócić jeszcze przed grób siostry Faustyny. Jakież było jej zdumienie, gdy w kaplicy nie zastała nikogo, a przed grobem leżały rozrzucone płatki kwiatowe. Pozbierała je i zawiozła sąsiadce, której syn wkrótce wyzdrowiał.

Oczywiście, wszyscy chcieli teraz pojechać do Łagiewnik! A najważniejsze, że Opatrzność Boża chciała nas tam przyprowadzić. Byliśmy praktycznie jedynymi pielgrzymami w tym sanktuarium. Aż się wierzyć nie chce, bo wiadomo jak to miejsce potrafi być obecnie zatłoczone. Mieliśmy komfort spokojnej modlitwy przy grobie błogosławionej.

Opatrzność Boża czuwała nad nami także na przejściu granicznym w Chyżnem. Nasz autokar przejechał, co prawda, bez problemu, ale kierowca drugiego autokaru nie miał koncesji i tak naprawdę, nie miał prawa opuścić Polski, a z nim 49 pielgrzymów. Czekając na drugi autokar i widząc, że mają jakieś kłopoty, modliliśmy się o ich szczęśliwy przejazd. Jakimś cudem, w końcu przejechali granicę i wszyscy ruszyliśmy razem na południe.

Przez Słowację i Austrię jechaliśmy nocą. Zepsuło się ogrzewanie w naszym autokarze, zrobiło się zimno, szyby zarosły lodem. Wyciągnęliśmy śpiwory, zrobiło się nieco cieplej, spaliśmy w takt jazdy autokaru, który trząsł się i szarpał, jakby miał się rozpaść. Rześkim rankiem, z temperaturą ok. 0 stopni C, zrobiliśmy sobie śniadanie „pod chmurką". Dojadaliśmy domowe zapasy, mieliśmy też 300 bochenków chleba z ziarnami – dar sopockiego piekarza, o którym pamiętaliśmy w naszych modlitwach.

Koło południa dotarliśmy do Padwy. Po Mszy św. i zwiedzeniu Bazyliki św. Antoniego, zaczęliśmy szukać noclegu w Padwie. Było tu dużo pielgrzymów, także z Polski, zdążających do Rzymu na spotkanie z papieżem. Do kogo się udać? Ano do Pana Boga, z gorącą prośbą o nocleg. Modliliśmy się w autokarach, a siostra Józefa z księdzem kamilianinem, udali się do klasztoru franciszkańskiego. Była sjesta, święta pora odpoczynku, gdzie wszystko jest nieczynne i nic nie można załatwić. Jakoś na furcie dogadali się, że są z Polski i furtian Włoch sprowadził Polaka, franciszkanina, brata Zbyszka. Nie był on zachwycony przerwaniem odpoczynku, bo miał dużo zajęcia z pielgrzymami z Polski. Jego uwagę zwrócił oryginalny habit siostry Józefy. Jak usłyszał, że jesteśmy obrońcami życia, od razu się ożywił i załatwił nam nocleg i kolację u sióstr włoskich na via del

się z bratem Zbyszkiem w Polsce, żeby mu przekazać, z postanowienia uczestników pielgrzymki, obraz Matki Bożej Częstochowskiej dla sióstr, które nas ugościły.

Późnym popołudniem dotarliśmy do Rzymu. Wraz z siostrą Józefą i kilkoma osobami, udaliśmy się na poszukiwanie noclegu i załatwienie biletów na audiencję na Placu św. Piotra. Najpierw skierowaliśmy się do sióstr antonianek. Tu siostra Józefa poszła po bilety, a my, w kąciku, rozpoczęliśmy gorącą modlitwę. W autokarach też się modlili. To już nie były żarty – być w Rzymie i nie zobaczyć papieża? Przez korytarz przewinął się ojciec Jan z „Radia Maryja" i ojciec Konrad Hejmo. Za chwilę wyszła siostra Józefa z biletami. Pozostało jeszcze załatwienie noclegu.

Poszliśmy do budki telefonicznej, telefonów komórkowych wtedy jeszcze nie było. Siostra Józefa zaczęła wydzwaniać pod numery telefonów naszych znajomych i znajomych naszych znajomych – księży i sióstr zakonnych, mieszkających w Rzymie, jakie zabraliśmy ze sobą na tę pielgrzymkę. Telefony raczej się nie udawały – albo nie można było znaleźć „znajomej" osoby, albo nie mogliśmy uzyskać połączenia.

Wreszcie rozmowa (po polsku) z siostrami urszulankami:

– Noclegi? Teraz w Rzymie? Niemożliwe. A ile osób?

– 98

– No chyba siostra żartuje! (*to do siostry Józefy*)

I po długiej chwili:

– Zadzwońcie może później, jak nic nie znajdziecie…

Santo. Siostry prowadziły przedszkole, lubiły dzieci i martwiły się, że we Włoszech tak mało dzieci się rodzi. Pozwoliły nam rozłożyć się na drewnianej podłodze w ciepłym przedszkolu, a na kolację ugotowały nam typowe włoskie danie: makaron z oliwą, ziołami i tartym żółtym serem. Dawno nam nic tak nie smakowało! Wdzięczność wypełniała nasze serca.

Opatrznościowe spotkanie z bratem Zbyszkiem mieliśmy także następnego dnia, na porannej Mszy świętej, w kaplicy przy Bazylice św. Antoniego. Brat Zbyszek wpuścił nas do kaplicy i wyszedł. Ksiądz kamilianin zaczął odprawiać Mszę świętą. Gdy miał przeczytać Ewangelię, spojrzał bezradnie i powiedział, że z powodu słabego wzroku i słabego światła w kaplicy, zupełnie nie widzi liter. W tym momencie w kaplicy pojawił się brat Zbyszek, który powiedział, że modlił się przed grobem św. Antoniego i coś kazało mu wrócić do nas. Przeczytał Ewangelię, a potem wygłosił do nas piękne kazanie o miłości bliźniego. Kładł nacisk, żebyśmy nie mówili źle o innych. I to sobie przyswoiłam z tego pobytu w Padwie na resztę życia. W następnym roku spotkałam

Kochane siostry urszulanki, dałyście nam cień nadziei.

Telefon do franciszkanina z Kurii Generalnej, Polaka, ojca Huberta, znajomego małżeństwa z Gdańska:

– Noclegi? Wykluczone! Cały Rzym zapchany pielgrzymami! Nigdzie nic nie znajdziecie."

Gdy pada pytanie; „A ile osób?" i odpowiedź siostry Józefy: – 98, w słuchawce zalega długa cisza i zaskoczony, przerywany głos mówi:

– Nie wiem, co odpowiedzieć… Wy chyba żartujecie… 100 osób w Rzymie bez noclegu! Zadzwońcie za pół godziny… Ja nie wiem… to szaleństwo…"

Pół godziny zleciało szybko. Modliliśmy się cicho, indywidualnie w tej budce telefonicznej. Siostra Józefa próbowała jeszcze dzwonić, ale bez skutku. W autokarach też się modlili.

Dzwonimy do ojca Huberta. Już przyszedł do siebie, ma nocleg, przyjedzie po nas za 10 minut! Co za radość! Już zmrok zapada, wieje zimny wiatr marcowy, ale mamy nocleg w Rzymie! Chwała Ci, Panie!

Nocleg był nie jeden, ale trzy. We franciszkańskiej Kurii Generalnej, na marmurowych posadzkach – pięknych, ale jakże zimnych! Kochany ojciec Hubert trochę nawymyślał nam od szaleńców i że swoją pokutą zmuszamy innych do pokuty, ale była też gorąca zupa i owoce i napoje. Odprawił nam także Mszę św. w Bazylice Świętych Apostołów Jakuba i Filipa, zbudowanej na ich grobach i wygłosił do nas kazanie. Poprosił też dwóch polskich księży, żeby oprowadzili nas po Rzymie. Czyż w swym działaniu nie był narzędziem Opatrzności Bożej, czuwającej nad nami? W dniu, w którym siostra Józefa zatelefonowała do niego z prośbą o nocleg, był nieuchwytny. Nie było jeszcze telefonów komórkowych, tylko stacjonarne. Nasz telefon zastał ojca Huberta, gdy na 5 minut wszedł do swojego pokoju.

W zimny i wietrzny dzień 29 marca, dzień audiencji na Placu Świętego Piotra, mimo że przyszliśmy wcześnie i mogliśmy usiąść w sektorze polskim, woleliśmy stanąć przy bramce, na końcu sektorów. Upewniliśmy się przedtem, że tędy będzie przejeżdżał Ojciec Święty. I przejeżdżał, był na wyciągniecie ręki! Uśmiechał się do nas i nam błogosławił. Udało mi się zrobić z bliska zdjęcie. To też była nagroda za nasz trud stania kilka godzin na zimnie, choć nie lubię tu podkreślać aspektu trudu i pokuty, nie byłoby to uczciwe. Pielgrzymka ta była dla mnie radością i przygodą, zbliżeniem do Boga i nauką zawierzania Opatrzności Bożej. Od pół roku byłam w Ruchu Rodzin Nazaretańskich i stawiałam pierwsze kroki na drodze głębszej wiary. Ta pielgrzymka bardzo mi w tym pomogła.

Po audiencji była Msza św. w Bazylice św. Piotra na Watykanie. Cała bazylika wypełniona była Polakami, zabrakło nawet komunikantów. Podobno było nas 15 tysięcy pielgrzymów. Msza św. była bardzo wzruszająca, choć nie uczestniczył w niej papież. Stojąc w tłumie rodaków, w tej wspaniałej bazylice, zbudowanej na grobie św. Piotra Apostoła, w której zawsze chciałam być, słowa wdzięczności Panu Bogu wypełniały moje serce. Chciałam coś ofiarować Panu Bogu, ale co ja mam, co ja mogę, co jest tak naprawdę moje? Chyba tylko moją jest wolna wola, którą mogę oddać Panu Bogu.

Po Mszy św. zbieramy się na Placu św. Piotra przed fontanną. W oknie papieskiej biblioteki pali się światło. Ci, co je zauważyli, z pewnością ślą tam gorące uczucia i modlitwy.

W drodze powrotnej usiedliśmy przy Fontannie di Trevi i próbowaliśmy lokalnych specjałów. Napotkani Polacy z różnych grup pielgrzymkowych nie mogli przeboleć, że za pielgrzymkę zapłaciliśmy 6 razy mniej niż oni i że nocujemy w centrum Rzymu, a oni dojeżdżają 70 – 100 km do Wiecznego Miasta.

Z Rzymu wyjechaliśmy do Asyżu. Umbria nas zachwyciła. Zwiedziliśmy i modliliśmy się w Bazylice Św. Franciszka i Bazylice Matki Bożej Anielskiej, na dziedzińcu tańcem wielbiliśmy Boga wraz ze Wspólnotą Błogosławieństw z Niemiec. Wzięliśmy udział w wieczornym nabożeństwie wielkopostnym, z pięknymi śpiewami zakonników – do dzisiaj mam w uszach refren :„Jesu Christo crucifisto". Nocowaliśmy u sióstr.

Z Asyżu wyjechaliśmy do Loreto. Kojarzy mi się ono ze wzruszeniem bycia w Sanktuarium Domu Świętej Rodziny. Pan sprawił mi tu dużą radość. Otóż, gdy po Mszy św. postanowiliśmy zostać tu na noc, miejscowy ksiądz kapucyn, Polak, poszedł szukać dla nas noclegu, a siostra Józefa zaproponowała, żebyśmy poczekali w Domku Świętej Rodziny. Weszliśmy tam i byliśmy około godziny. Było dużo ludzi, zrobiło się gorąco. Nie mogłam wyjść, bo trzymałam palto siostry Józefy, które mogło jej się przydać w każdej chwili. Nie mogłam modlić się na różańcu, bo ręce miałam zajęte. Zaczęłam więc medytować dziecięce i młodzieńcze lata Jezusa w tym Domu. Po pewnym czasie, niespodziewanie, poczułam silny zapach świeżych wiórów drewnianych. Miły zapach wiórów, zapach domu Jezusa – miejsca zabawy, a potem pracy, zapach warsztatu pracy św. Józefa. Radość wybiła mnie ze stanu medytacji, wchodziłam w nią jeszcze kilka razy i za każdym razem pojawiał się zapach wiórów.

Następnego dnia, z Loreto wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Podczas całej pielgrzymki spotykaliśmy wszędzie życzliwych ludzi – tych co nas gościli, częstowali, okazywali swoją sympatię, dawali wrzątek w barach. Kilka razy w ciągu dnia myśleliśmy z wdzięcznością o Panu Piekarzu z Sopotu, który, poproszony, ofiarował nam 300 bochenków pysznego, najlepszej jakości chleba z ziarnami.

Gdy, po powrocie, opowiadałam znajomej nauczycielce o naszej pielgrzymce, powiedziała, że uczestnicy musieli być ludźmi o niezwykłej kulturze duchowej. Miała rację, bo przy tak dużej liczbie ludzi w różnym wieku, z różnych środowisk, o różnych przyzwyczajeniach, w tak trudnych warunkach niewyspania, niedomycia, niedojedzenia, właściwie nie dochodziło do sytuacji konfliktowych. Zawsze ktoś w porę potrafił ustąpić. Byłam pełna podziwu dla uczestników pielgrzymki, że bardzo sprawnie wstawali, pakowali się, wychodzili z miejsca noclegu, że mieli mały bagaż. Podziwiałam ich także za ogromną religijność, rozmodlenie, autentyczne życie Bogiem, radość. Cieszę się, że ich spotkałam.

Do Polski wróciło z nami kilkadziesiąt bochenków chleba od piekarza z Sopotu. Mieliśmy więc, na tej pielgrzymce, wszystkiego w nadmiarze, także chleba.

Marek Nowak

Naród upomina się o życie

W święto św. Andrzeja Boboli (16 maja), kapłana i męczennika, głównego patrona Polski, odbyło się w Sejmie „wysłuchanie publiczne" dotyczące wniesionych do Sejmu 4 projektów ustaw ułatwiających proceder aborcji.

Obecnie w Polsce aborcja jest możliwa w dwóch przypadkach: gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej lub gdy powstała w wyniku czynu zabronionego (gwałt, kazirodztwo, obcowanie płciowe z małoletnim poniżej lat 15).

Po październikowych wyborach parlamentarnych do Sejmu wniesiono 4 projekty ustaw ułatwiających proceder aborcji.

Istotą „Poselskiego projektu ustawy o zmianie ustawy – Kodeks karny"[1] jest nieuznawanie za przestępstwo aborcji, dokonanej za zgodą kobiety do 12 tygodnia ciąży, a także usunięcie odpowiedzialności karnej za dokonanie za zgodą kobiety aborcji w dowolnym czasie, gdy „badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu".

„Poselski projekt ustawy o bezpiecznym przerywaniu ciąży"[2] przyznaje prawo do bezwarunkowego przerywania ciąży do 12 tygodnia, a także bez ograniczeń czasowych w przypadkach, „gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia, w tym w szczególności zdrowia fizycznego lub psychicznego, osoby w ciąży albo, gdy wyniki diagnostyki prenatalnej lub inne przesłanki medyczne wskazują na to, że występują nieprawidłowości rozwojowe lub genetyczne płodu". Ponadto projekt zobowiązuje do wykonywania aborcji placówki medyczne świadczące usługi w ramach NFZ, a w przypadku sprzeciwu sumienia personelu placówki, do zawarcia przez nią umowy z podwykonawcami aborcji.

Z kolei „Projekt ustawy: – o zmianie ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży"[3] proponuje rozszerzenie dotychczasowego prawa aborcyjnego zgodnie z powyższymi projektami.

„Projekt ustawy: – o świadomym rodzicielstwie"[4] jest projektem rozszerzenia dostępności aborcji podobnym do projektu „o bezpiecznym przerywaniu ciąży".

Do przedstawienia w Sejmie swojego stanowiska w ramach „wysłuchania

1 https://www.sejm.gov.pl/sejm10.nsf/druk.xsp?nr=176

2 https://www.sejm.gov.pl/sejm10.nsf/druk.xsp?nr=177

3 https://www.sejm.gov.pl/sejm10.nsf/druk.xsp?nr=223

4 https://www.sejm.gov.pl/sejm10.nsf/druk.xsp?nr=224

publicznego" zgłosiło się 30 organizacji oraz ponad 350 osób fizycznych. Wobec rekordowej liczby uczestników wysłuchania, nadzwyczajna komisja sejmowa przyznała 4 min. na wystąpienia organizacji oraz 2 min. na wystąpienia osób fizycznych. Nagranie video z wysłuchania wszystkich uczestników (ok. 8 godz.) można odtworzyć ze strony internetowej Sejmu[5].

Następnego dnia po wysłuchaniu, w mediach głównego nurtu wyraźne poruszenie. Od samego rana można zauważyć wypowiedzi zwolenników aborcji mocno zaniepokojonych ewidentną przewagą, nie tylko ilościową, obrońców życia podczas „wysłuchania publicznego". Przeciw ułatwianiu aborcji wypowiedziało się bowiem podczas wysłuchania wiele osób działających w organizacjach obrony życia, wielu lekarzy, rodziców z rodzin wielodzietnych, osób religijnych. Niezwykle przejmujące było świadectwo kobiety, która przyznała się do popełnienia przed laty nielegalnej aborcji, a powróciła do równowagi dopiero po pojednaniu z Bogiem.

Wśród obrońców życia biorących udział w wysłuchaniu były co najmniej 2 osoby zamieszkałe na terenie naszej parafii. Oto tekst wystąpienia jednej z tych osób.

Szanowni Państwo,

chciałbym mieć nadzieję, że wystarczy przywołać Mojżesza wracającego ponad 3000 lat temu z góry Horeb z kamiennymi tablicami Dekalogu, a w nim kluczowym dla nas dzisiaj słowem: „Nie zabijaj".

Ale wiemy doskonale, że u stóp góry ten wyznawca jedynego Boga musiał zderzyć się… z wyznawcami złotego cielca.

A potem, 2000 lat temu, Jezus Chrystus, twórca bezkonkurencyjnego po dzień dzisiejszy systemu etycznego, zalecił: „Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego".

Nie optuję tutaj oczywiście za prawem religijnym. To każdy z nas podejmuje ryzyko własnego wyboru wartości, którym służy w życiu. I jest lub będzie za ten wybór i jego realizację odpowiedzialny. Chcę tutaj raczej podkreślić, że omawiane propozycje liberalizacji prawa aborcyjnego są odrzuceniem wielowiekowego rozwoju ludzkiej kultury.

Dzisiaj jakaś część sejmowej reprezentacji mojego Narodu zdaje się widzieć „miłość bliźniego" zupełnie inaczej: "Każda osoba w ciąży ma prawo do świadczenia zdrowotnego w postaci przerwania ciąży w okresie pierwszych 12 tygodni jej trwania"[6] zapisano w Druku 224.

Zatem każda osoba w ciąży, na swoje życzenie, ma otrzymać prawo do:

- *świadczenia zdrowotnego o potwierdzonych[7, 8,] negatywnych skutkach dla zdrowia ciężarnej,*
- *uśmiercenia rozwijającego się w niej życia ludzkiego,*
- *wymagania od przedstawicieli służby zdrowia dokonania uśmiercenia tego rozwijającego się życia,*
- *wymagania od współobywateli, o różnych przecież poglądach, finansowania tego procederu.*

To wszystko w czasie ewidentnego kryzysu demograficznego w Polsce.

To wszystko po pamiętnych słowach św. Matki Teresy z Kalkuty do Polaków: „Tym, co najbardziej niszczy pokój we współczesnym świecie, jest aborcja, ponieważ jeżeli matka może zabić swoje własne dziecko, co może powstrzymać Ciebie i mnie od zabijania się nawzajem?"[9]

Czy my naprawdę tego chcemy?

5 https://www.sejm.gov.pl/sejm10.nsf/transmisje.xsp?unid=DDD1173948B949D2C1258B16002B812F#

6 Art. 5.1 „projektu ustawy – o świadomym rodzicielstwie"

7 https://www.poradnikzdrowie.pl/zdrowie/choroby-kobiece/aborcja-jej-wplyw-na-fizyczne-i-psychiczne-zdrowie-kobiety-aa-RBLP-xd1g-chbC.html

8 https://sknzp.wum.edu.pl/sites/sknzp.wum.edu.pl/files/psychiczne_skutki_aborcji_0.pdf

9 https://www.ekai.pl/obroncy-zycia-przypominaja-slowa-sw-matki-teresy-z-kalkuty-do-polakow-nt-aborcji/

Ewa Kotarska

Czerwone maki

„Czerwone maki na Monte Cassino
zamiast rosy piły polską krew.
Po tych makach szedł żołnierz i ginął
Lecz od śmierci silniejszy był gniew.
Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosły krwi."

Fragmentem tej pieśni napisanej przez Feliksa Konarskiego, chciałabym zachęcić do obejrzenia filmu p.t. „Czerwone maki" w reżyserii Krzysztofa Łukaszewicza, który miał premierę w kwietniu 2024 roku.

80 lat temu, w maju, polscy żołnierze zdobyli ruiny klasztoru Monte Cassino. Zwycięstwo to dokonane zostało przez 2 Korpus pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Zdobycie bronionego zaciekle przez Niemców masywu, było finałem blisko półrocznej ciężkiej kampanii. W maju, po zaangażowaniu polskiego wojska, udało się opanować niemal doszczętnie już zrujnowany klasztor. Naszym przypadło najtrudniejsze zadanie – walka z wrogiem na najbardziej odsłoniętym terenie i wspinaczka na Monte Cassino. Zwycięstwo okupione zostało śmiercią ponad 900 polskich żołnierzy i ranami kolejnych 3 tysięcy.

Bohaterem „Czerwonych maków" uczynił reżyser 17-letniego Jędrka Zahorskiego. To z jego perspektywy i jego oczami oglądamy całość wydarzeń. Chłopak jest sierotą, który odzyskał wolność i uciekł ze związku sowieckiego.

Krnąbrny i buntowniczy Jędrek tuła się na tyłach polskiego wojska (nie jest jedynym dzieckiem) opiekując się mułami, oraz maskotką żołnierzy – niedźwiedziem Wojtkiem (ten, w filmie wygenerowany przez sztuczną inteligencję). „Za pół roku skończy 18 lat", nie kwapi się jednak do wojowania. Żołnierzy uważa za frajerów, którzy biją się nie na swojej ziemi. Wędruje pod kuratelą korespondenta wojennego (Leszek Lichota),

którego postać przypomina Melchiora Wańkowicza – „cukier krzepi". Chłopak zakochany w sanitariuszce, „morowej pannie", składa jej różne dowody miłości, jak choćby leki, które brawurowo usiłuje zdobyć z irańskiego lazaretu. Pola uważa go za gówniarza, nie docenia chłopaka. W ostatecznym starciu jednak Jędrek pokazuje ducha walki, pomaga, wychodząc z ogromnymi obrażeniami. Ciśnie się tu sienkiewiczowskie zawołanie Oleńki do Kmicica: „Jędruś, jam ran twoich niegodna całować".

W „Czerwonych makach" bardzo dobrze pokazana jest strategia walki i taktyka zarówno po stronie polskiego sztabu, jak również niemiecka linia obrony. Sceny batalistyczne pokazują jakim wielkim wysiłkiem polskiego żołnierza okupione było zdobycie tego bastionu. Widać wyraźnie, że atakowanie go to proszenie się o śmierć, ale jak to powiedział Anders: „Trzeba było to zrobić".

Film „Czerwone maki" wywołuje ogromne wzruszenie, podobnie jak pieśń, która powstała na cześć bohaterów tych wydarzeń. Należy go koniecznie obejrzeć, choćby ze względu na szacunek dla ofiarności i odwagi tysięcy polskich żołnierzy oddających dla ojczyzny swe życie w różnych zakątkach świata. Monte Cassino jest jednym z najważniejszych symboli II wojny światowej.

Harold Alexander, marszałek polny British Army, któremu podlegał m.in. 2 Korpus Polski, powiedział: „Żołnierze 2 Polskiego Korpusu! Jeżeliby mi dano do wyboru między którymikolwiek żołnierzami, których bym chciał mieć pod swoim dowództwem, wybrałbym Was – Polaków". Pamiętajmy o tym!

Piotr Banasiak, kustosz w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie.

Gagatek z Ołtarzewa

Janusz Kusociński to wybitny biegacz i patriota, który na trwałe zapisał się w historii naszego kraju. Był złotym medalistą olimpijskim w biegu na 10 km, wielokrotnym rekordzistą świata i mistrzem Polski. W niniejszym artykule opowiem Państwu o dzieciństwie i wczesnej młodości Kusocińskiego, którą spędził w ukochanym przez siebie Ołtarzewie.

Korzenie

Bohater naszej opowieści urodził się 15 stycznia 1907 r. w Warszawie. Jego rodzicami byli Klemens i Zofia ze Śmiechowskich. Ojciec zapisał się w pamięci jako człowiek *„światły, angażujący się w życie społecznie i wielokrotnie represjonowany przez carską policję za działalność niepodległościową”*. W połowie 1907 r. państwo Kusocińscy przenieśli się z Warszawy do Ołtarzewa. Zamieszkali w domu otoczonym obszernym ogrodem warzywnym. Pomocy finansowej przy zakupie działki udzielił im brat ojca Kusocińskiego, Zygmunt, który był dobrze prosperującym warszawskim lekarzem. Klemens podjął prace jako urzędnik kolejowy a Zofia zajmowała się wychowywaniem dzieci. Janusz miał pięcioro rodzeństwa – dwóch braci i trzy siostry. Najstarszy Zygmunt wyjechał na studia do Paryża i tam zastała go I Wojna Światowa. Wcielony do armii Francuskiej zmarł z wycieńczenia w 1918 r. Tadeusz zginął śmiercią bohaterską na przedpolach Zamościa w trakcie ofensywy Armii Czerwonej w 1920 r. Choć Janusz wychowywał się w otoczeniu trzech sióstr Marii, Janiny i Haliny to pamięć o braciach odegrała ważną rolę w kształtowaniu się w nim wzorca męskości i postawy patriotycznej.

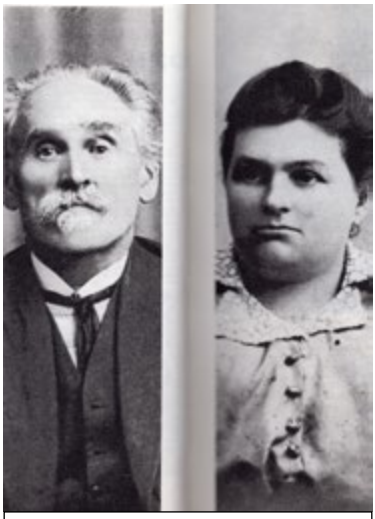

Rodzice Janusza Kusocińskiego

Zacząłem chodzić i to od razu biegiem...

Pomimo, że Janusz urodził się jako wcześniak dwa miesiące przed przewidywanym terminem porodu był bardzo silnym dzieckiem, które rozpierała energia. *„Pamiętam jak przez mgłę, że jako mały bąk całe dnie spędzałem na dworze, że się wślizgiwałem do psiej budy i bawiłem się ze szczeniakami. Później mi nieraz mama opowiadała,*

Bracia Janusza - Zygmunt i Tadeusz

że wcześniej niż inne dzieci zacząłem chodzić i to od razu biegiem…” Chłopiec od dzieciństwa kochał konie dlatego też mawiał, że ze względu na to uczucie natura obdarzyła go przysłowiowym końskim zdrowiem. *„Choroby się mnie nie imały, szkarlatyna i odra oszczędziły mnie, nie wiem co to koklusz – za to niezliczoną ilość razy obkładano mnie kompresami, bo mnie pogryzł pies, pokopał koń, albo podrapał wierny towarzysz zabaw – czarny kot. Dlatego to matka truchlała, ilekroć wychodziłem z domu i już na wszelki wypadek przygotowywała bandaże i wodę gulardową”.* Przygody Janusza ze zwierzętami były często dramatyczne. Wakacje spędzone w Hrubieszowie omal nie skończyło się tragedią: *„Podszedłem do klaczy, a ta mnie zębami za brodę. O mały włos nie odłupała mi dolnej szczęki. Zalałem się krwią – ale nie płakałem, dopiero gdy mnie obstąpili krewni i zaczęli lamentować, zrobiło mi się strasznie głupio i rozbeczałem się na cały głos. Blizna od tego końskiego pocałunku została mi na całe życie”.* Rodzice by choć chwile odpocząć od niesfornego dziecka postanowili wysłać go do swojego krewnego w Warszawie. Uchodził on za niezwykle srogiego. Liczyli, że może jemu uda się okiełznać nadpobudliwą latorośl i wpoić chłopcu posłuszeństwo względem opiekunów. Janusz tak wspominał ten epizod: *„Biedny stryjaszek miał widocznie pecha, skoro los mu powierzył wychowanie bratanka. W Warszawie miałem więcej pola do popisu, aniżeli w cichym Ołtarzewie. Można ścigać się po jezdni z tramwajami, można stukać w okna parterowych mieszkań, albo wygrywać pobudkę na szyldach sklepików. Toteż stryj zaczął mnie niebawem zamykać na klucz w jednym z pokoi i powierzał pieczę nade mną starej gospodyni”.* Po krótkim czasie ów srogi stryj skapitulował i odesłał gagatka rodzicom. Jego metody pedagogiczne nie przyniosły żadnego skutku. Jedną z przypadłości nadpobudliwego chłopca było permanentne niszczenie ubrań. Jego mama nie nadążała z zaszywaniem dziur i wstawianiem kolejnych łat. Szczególnie narażone na podarcie okazywały się kieszenie. Chłopiec nosił w nich – jak twierdził – tylko niezbędne akcesoria potrzebne do zabawy i codziennego funkcjonowania takie jak: *„Tępy kozik, sznurek do latawca, dużo gwoździ, kopertę ze znaczkami pocztowymi, podkowę – na szczęście, smycz i kilka jabłek dla koni”.* Zdesperowana mama postanowiła zaszyć kieszenie w spodniach licząc, że w ten sposób oduczy malca niepożądanego zachowania. Jak się miało później okazać nie był to najlepszy pomysł. Janusz wspominał: *„Nie miałem gdzie chować chustki do nosa, to i przestałem jej używać. Zacząłem wycierać nos, wzorując się na wiejskich chłopcach, rękawem prawej ręki. Oczywiście przy tej sposobności wywierałem ucisk na mój nieszczęsny nos od lewej ku prawej stronie – co po jakimś czasie dało niespodziewany efekt. Mama zauważyła ze zgrozą, że mam krzywy nos. Nic nie pomogły kompresy, ani woda gulardowa, ani mój własny system, polegający na tarmoszeniu nos w przeciwną stronę*

Fotografia rodzeństwa Janusza Kusocińskiego Zygmunt, Tadeusz, Janina, Maria

– delikatna chrząstka zdążyła stwardnieć – to samo zapewne dzieje się z kukiełkami, modelowanymi w miękkim wosku…”

Niesforny uczeń

Problemy z chłopcem zrobiły się poważniejsze, gdy rozpoczął naukę. Ówczesna szkoła nie była przyjazna dla dzieci z nadpobudliwością ruchową. Rodzice wybrali dla niego elitarną szkołę im. Kazimierza Nawrockiego w Warszawie. Mimo starań ojca chłopiec nie był w stanie wdrożyć się do nowych warunków. Dyscyplina szkolna wpływała na niego deprymująco. Uczył się bardzo słabo. Jedyne sukcesy odnosił na polu sportowym będąc doskonałym piłkarzem. Możliwość dodatkowego wyżycia się ruchowego dawały mu powroty pociągiem do domu. Po latach tak to wspominał: *„Codziennie wracałem do Ołtarzewa koleją. Oczywiście z rekordowym spóźnieniem. Lubiłem te eskapady. Urwisowałem w pociągu ile wlezie – stałem się utrapieniem konduktorów i pasażerów. Ale w końcu służba kolejowa przywykła do małoletniego pasażera, który podczas jazdy biegał sobie po stopniach, z wagonu do wagonu, czepiając się klamek.* Wyjaśniał rodzicom spóźnienie do domu w następujący sposób: *„Robiłem smutny wyraz twarzy i łkałem bezczelnie, tłumacząc spóźnienie długim pobytem w kozie, oczywiście z winy niesprawiedliwego profesora, który się na mnie uwziął. Do meczów futbolowych nie przyznawałem się rodzicom, bo nie rozumieliby mej namiętności do sportu.”* Reprymendy rodziców były coraz bardziej zdecydowane: *„Łobuz jesteś – nic dobrego z ciebie nie wyrośnie – biadała matka. Ojciec także po swojemu dawał mi nauki. Nieraz dosłownie uszy mi puchły. Od tych nauk. Ale bo też mój tatuś sportu nie uznawał, gardził sportowcami, a ponad wszystko cenił wiedzę. Chciał mi wpoić zamiłowanie do nauki – ale łatwiej byłoby nauczyć astronoma skoku o tyczce, aniżeli mnie zmusić do ślęczenia nad tabliczką mnożenia.”* Krzyki i groźby nie przynosiły zamierzonego efektu. Ze względu na złe wyniki w nauce Janusz musiał zmienić szkołę. Rodzice wybrali mu Państwową Średnią Szkołę Ogrodniczą. Na lekcje chodził bardzo niechętnie, ale zajęcia praktyczne w ogrodach dawały mu chwile wytchnienia.

On tylko zastąpił kolegę...

W nowej szkole nie znalazł wysportowanych kolegów dlatego też postanowił grać w piłkę nożną na rodzimym gruncie. Po latach wspominał: *Pierwszy mój debiut wypadł podczas meczu Ożarowianki z Józefowianką, o 6 km od Ożarowa. Przegraliśmy 8:2, ale te dwa gole były moją robotą… Potem kilka razy zbłaźniłem się w Ożarowiance, więc zirytowany przeniosłem się do Józefowianki.* Później już jako 17 letni młodzieniec zapisał się do warszawskiego klubu „Sarmata”.

Wybitnym piłkarzem jednak nie został. O dalszym przebiegu jego kariery zadecydował czysty przypadek. Z zapalonego futbolisty został biegaczem *„Okazało się, że jeden z zawodników nie stawił się na zawody. Po chwili poproszono mnie abym spróbował szczęścia i zastąpił brakującego kolegę. Powiedziałem sobie – było nie było, raz kozie śmierć – no i pobiegłem. Rezultat był dobry – w biegu na 800 m wygrałem bijąc drużynę „Skry" Tegoż dnia zachęcony powodzeniem zgodziłem się znowu biec, w sztafecie 5x 1000 m. Wzięliby pierwsze miejsce, przed Skrą"*. Dalszy przebieg jego kariery lekkoatletycznej był błyskotliwy. Sukces gonił sukces a ich kulminacją był bieg na Igrzyskach X Olimpiady w Los Angeles. Na dystansie 10 km Kusociński pokonał całą światową elitę i sięgnął po złoty medal. Został bohaterem narodowym. Pisano o nim wiersze i śpiewano piosenki. Stał się przyjacielem aktorów i pisarzy. Z przytupem trafił na salony II Rzeczpospolitej. W swojej niespełna piętnastoletniej karierze biegacza był między innymi dwukrotnym rekordzistą świata, srebrnym medalistą mistrzostw Europy oraz dwudziestopięciokrotnym rekordzistą Polski na różnych dystansach. Będąc już opromieniony sukcesami sportowymi nadrobił zaległości szkolne. Jako trzydziestolatek zdał eksternistycznie maturę i otrzymał świadectwo dojrzałości co umożliwiło mu naukę w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego.

Pamięć pozostaje

Karierę Kusocińskiego podobnie jak kariery wielu innych sportowców przerwał wybuch II Wojny Światowej. Wtedy z lekkoatlety stał się żołnierzem. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r. Później działał w konspiracji. Został aresztowany przez hitlerowców 28 marca 1940. Mimo wielotygodniowego śledztwa nie wydał towarzyszy broni. Rozstrzelany został podczas masowej egzekucji w Palmirach 21 czerwca 1940 r. Pamięć o Kusocińskim przywołują organizowane od 1954 coroczne międzynarodowe mityngi lekkoatletyczne. Natomiast w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, prezentowane są najciekawsze pamiątki związane z jego życiem i karierą. Na ekspozycji stałej obejrzeć można między innymi unikatowy film ze złotego finiszu Kusocińskiego na Igrzyska w Los Angeles .

* * *

Janusz Kusociński mieszkał w Ołtarzewie w latach 1907 – 1928. Po latach pisał w swoim pamiętniku *„W ogrodniczym gospodarstwie w Ołtarzewie przeżyłem wiele lat z rodzicami, którym po odejściu z domu sióstr – zostałem… na pociechę. Słaba to była jednak pociecha…"*

Marta Kozak – nauczycielka języka niemieckiego, wychowawczyni, koordynatorka programu Erasmus+ w Pallottim

Demokracja w szkole

Edukacja to coś więcej niż tylko przyswajanie wiedzy z podręczników. To także kształtowanie wartości, postaw i umiejętności, które będą towarzyszyć młodym ludziom przez całe życie. Jednym z ważniejszych aspektów, które szkoła powinna rozwijać, jest demokratyczne wychowanie uczniów. W jaki sposób szkoła może wpajać wartości demokratyczne i dlaczego jest to tak istotne? O tym właśnie chciałbym dziś napisać.

Szkoła to mikrospołeczeństwo

Szkoła jest miejscem, gdzie młodzi ludzie uczą się współżycia w społeczności. Każdego dnia spotykają się z rówieśnikami, nauczycielami, pracownikami szkoły. To tutaj stawiają pierwsze kroki w zrozumieniu, czym jest społeczeństwo, społeczna odpowiedzialność i jakie są zasady demokratycznego funkcjonowania. Dlatego tak ważne jest, aby w szkole panowała atmosfera szacunku, równości i współpracy, żeby dbanie o zrównoważony rozwój było widoczne nie tylko na poziomie dbania o środowisko, ale też dbania o rozwój i dobrostan swój i innych.

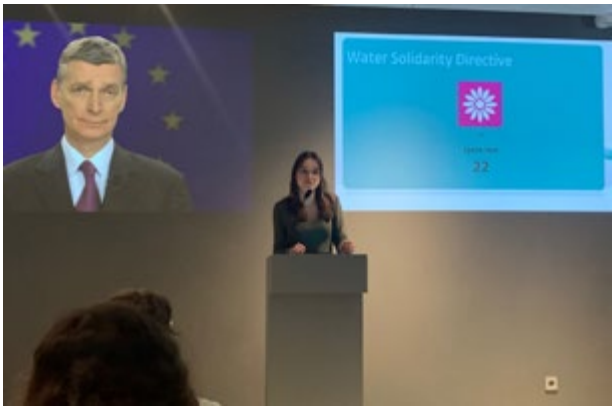

Aktywny uczeń, aktywny obywatel

Aktywne uczestnictwo uczniów w życiu szkoły to klucz do kształtowania przyszłych aktywnych obywateli. W jaki sposób Pallotti wspiera takie postawy?

W Pallottim funkcjonuje oczywiście Samorząd Uczniowski. Oprócz tego od dwóch lat działa też Sejm Szkolny, złożony nie tylko z uczniów, ale również z przedstawicieli Dyrekcji, Rodziców

i Nauczycieli. Ta instytucja jest bardzo zbliżona do przedstawicieli organów demokratycznych w dorosłym świecie. Mamy też w szkole napisaną przez uczniów Konstytucję.

W tym roku Sejm w Pallottim na swoim posiedzeniu zajął się sprawami zgłoszonymi przez Samorząd Uczniowski. Pierwszą propozycją było wprowadzenie zasady, aby każdy poniedziałek w szkole był dniem, w którym można korzystać ze smartfonów (dotychczas od wielu lat funkcjonuje zasada tylko „pierwszego poniedziałku miesiąca" z telefonami na przerwach). Na posiedzeniu Sejmu, ku zdziwieniu wszystkich, to przede wszystkim uczniowscy przedstawiciele w Sejmie byli przeciwko tej zmianie, a dojrzałość ich argumentów dowodzi, że wychowujemy bardzo świadomych i krytycznie myślących obywateli.

Natomiast dwa inne pomysły zyskały akceptację Sejmu, i są to też bardzo dojrzałe pomysły.

Pierwszy to dopuszczenie używania czytników książek podczas przerw, wprawdzie to elektronika, ale to ukłon w stronę rozwoju technologii i rozsądnego z niej korzystania.

Drugim pomysłem były „Weekendy relacji" – nazwane tak zresztą przez uczniów. Czym jest weekend relacji? To weekend bez prac domowych – w Pallottim nadal je zadajemy – bez kartkówek i klasówek w poniedziałek po takim weekendzie. A dlaczego taka nazwa? Bo to weekend na rozwijanie i pogłębianie relacji z rodziną, przyjaciółmi czy też po prostu z… własnym hobby. Bez myślenia, co zadane na poniedziałek, bez uczenia się do sprawdzianów.

Oczywiście jak każdą decyzję Sejmu tę też zatwierdza Rada Pedagogiczna – jednogłośnie! Bo jak wszyscy wiedzą, demokracja to rządy większości z poszanowaniem praw mniejszości – i bardzo tę zasadę szanujemy.

Naukę demokracji i o demokracji zawarliśmy też w celach naszego projektu Erasmus+ finansowanego ze środków Unii Europejskiej. Nasz projekt pod tytułem „Jesteśmy Europą" obejmuje poznawanie historii demokracji w Europie i poznawanie demokracji w praktyce. Dlatego nasi uczniowie odwiedzając inne kraje zwracają szczególna uwagę na dzieje demokracji w tym kraju. W Portugalii poznaliśmy szczegóły końca dyktatury i bezkrwawej Rewolucji Goździków 25 kwietnia 1974. W Niemczach za każdym razem, gdy tam jesteśmy, nawet tylko przejazdem – poznajemy dzieje podziału Niemiec po II Wojnie Światowej a potem historię upadku Muru Berlińskiego. Podczas wizyty w Polsce wraz z uczniami z innych krajów jeździmy do Gdańska – do Stoczni i do Europejskiego Centrum Solidarności, żeby zobaczyć i „dotknąć" miejsc związanych z przemianami demokratycznymi w Polsce w 89 roku. Nasi uczniowie i goście uczestniczyli w tym roku w Pallottim w warsztatach zorganizowanych przez naszego nauczyciela historii i WOS-u pana Romana Zybałę o znaczeniu opozycji i prawa do protestu w demokratycznym społeczeństwie. Nasi uczniowie zorganizowali pokojową demonstrację z transparentami, drukowali ulotki, uczyli się w praktyce o prawach rządzących demokratycznym światem. A przed wakacjami byliśmy w Łotwie, gdzie wraz z rówieśnikami z Portugalii i łotewskimi gospodarzami uczyliśmy się o zmianach demokratycznych w krajach nadbałtyckich i o odzyskaniu niepodległości przez Łotwę w 1991 roku. To ważne, żeby uczniowie poznali historię odzyskiwania demokracji w Europie, bo nie jest ona nam dana raz na zawsze, trzeba o niej mówić, umacniać i rozważnie stosować jej prawa.

Kluczowym wydarzeniem tegorocznego projektu Erasmus+ była wizyta naszych uczennic i uczniów w Parlamencie Europejskim w Strasburgu.

Gdzie nie tylko mogliśmy poznać organy europejskiej demokracji, ale wzięliśmy udział w symulowanej debacie europejskiej. W tej grze uczniowie wcielili się w posłów Europarlamentu i w praktyce doświadczyli procesu decyzyjnego. Podczas gry, która trwała około 60 minut, uczniowie debatowali i negocjowali z innymi młodzieżowymi eurodeputowanymi, wypracowywali kompromisy i głosowali nad proponowaną ustawą mającą poprawić życie obywateli Unii Europejskiej. Demokracja w praktyce i to na wysokim szczeblu!

Nauka Demokracji w praktyce – dlaczego to takie ważne?

Wpajanie wartości demokratycznych od najmłodszych lat ma fundamentalne znaczenie dla rozwoju świadomych i odpowiedzialnych obywateli. Dzięki naszym działaniom w szkole uczniowie:

- stają się świadomymi obywatelami: Wiedzą, jakie mają prawa i obowiązki, jak działa państwo i jakie są ich możliwości wpływania na rzeczywistość.
- promują tolerancję i szacunek: Demokracja opiera się na zasadach równości, tolerancji i szacunku dla innych. Wpajanie tych wartości w szkole to podstawa do tworzenia społeczeństwa opartego na wzajemnym zrozumieniu.
- rozwijają umiejętności krytycznego myślenia: Uczniowie uczący się demokracji są zachęcani do samodzielnego myślenia, analizy informacji i podejmowania świadomych decyzji.
- wzmacniają społeczną odpowiedzialność: Udział w projektach społecznych uczy odpowiedzialności za swoje otoczenie i pokazuje, że ich działania mają znaczenie.

Podsumowując, szkoła, która aktywnie wpaja wartości demokratyczne, kształtuje przyszłych świadomych obywateli, gotowych do aktywnego udziału w życiu społecznym i politycznym. To po prostu inwestycja w lepszą przyszłość nas wszystkich.

Dorota Wrotnowska-Nowak

Panie Ulma, ja proszę o życie

„Panie Ulma, ja proszę o życie, proszę o życie dla moich synów. Panie Ulma, pan też masz dzieci, pan wiesz, co to znaczy dla ojca życie dzieci. Panie Ulma, pan jesteś człowiek sprawiedliwy, pan masz Boga w sercu, ulituj się nad nami. Panie Ulma, Talmud mówi, że *„Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”*. Panie Ulma, ja proszę, ty uratuj nasz świat.” Czy tak Saul Goldman, Żyd z Łańcuta, prosił Józefa Ulmę, gospodarza z Markowej, o pomoc w ukryciu przed Niemcami podczas okupacji hitlerowskiej? Może i tak. W każdym razie, narażając życie swoje i swojej rodziny, Józef Ulma dał schronienie Żydom w swoim domu. „Co Bóg da, to będzie”, pomyślał, patrząc na święty obraz, wiszący nad łóżkiem i podjął decyzję.

10 września 2023 r, w Markowej na Podkarpaciu, miała miejsce beatyfikacja Rodziny Ulmów. Bardzo chciałam wziąć w niej udział, ale duża odległość do Markowej, wyjątkowe trudy podróżowania i mało grup pielgrzymkowych z naszej okolicy spowodowało, że nie pojechałam. Pan Bóg odpowiedział na pragnienie mojego serca – Ruch Rodzin Nazaretańskich Archidiecezji Warszawskiej zorganizował taką pielgrzymkę w maju 2024 r. Nie była to łatwa pielgrzymka. Pośród pięknego, pofałdowanego krajobrazu Podkarpacia, skąpanego we wszystkich odcieniach zieleni, niebieskości i granatu, z wypiętrzającymi się chmurami burzowymi, musieliśmy odpowiedzieć sobie na wiele pytań, które same się nasuwały. Błogosławieni i święci wyprzedzają epokę, w której żyli i niosą przekaz na czasy, które kiedyś nadejdą. Może właśnie na nasze czasy? Od tych wydarzeń w Markowej minęło już 80 lat. Najstarsi spośród nas znają te czasy z opowieści rodzinnych, reszta – z książek i filmów. Ta pielgrzymka okazała się podróżą w czasie i przestrzeni, a także podróżą w głąb naszych serc. Na długo pozostanie w naszej pamięci. Zacznijmy zatem opowieść o tej niezwykłej, błogosławionej Rodzinie i o czasach, w których przyszło im żyć i dać świadectwo swojego życia. Życia krótkiego, ale takiego, które zaprowadziło ich na ołtarze.

Z ewangelii św. Łukasza:

„Lecz on, chcąc się usprawiedliwić, zapytał Jezusa: A kto jest moim bliźnim? Jezus nawiązując do tego, rzekł:

Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko, że go obdarli, lecz jeszcze trany mu zadali i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził tą drogą pewien kapłan; zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął.

Pewien zaś Samarytanin, będąc w podróży, przechodził również obok niego. Gdy go zobaczył wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go. Następnego zaś dnia wyjął 2 denary, dał gospodarzowi i rzekł: Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie gdy będę wracał.

Który z tych trzech okazał się, według twego zdania, bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców? On odpowiedział: Ten który mu okazał miłosierdzie.

Jezus mu rzekł: „Idź i ty czyń podobnie”. (Łk 10, 29-37)

W zaczytanym, z wieloma podkreśleniami ołówkiem, Piśmie Świętym Józefa Ulmy, ta perykopa jest wyróżniona – widnieje przy niej adnotacja właściciela, napisana ołówkiem. Adnotacja jest bardzo krótka, jednowyrazowa. To słowo „TAK”, wyrażające zgodę serca na te słowa Jezusa.

Józef Ulma urodził się w 1900 r. w Markowej, dużej, podkarpackiej wsi, leżącej w pobliżu Łańcuta. Ukończył szkołę rolniczą z wynikiem bardzo dobrym. Był bardzo zaradny i pracowity, interesował się nowościami technicznymi i postępem w rolnictwie. Charakteryzował się wielką ciekawością świata i bez wątpienia, był osobowością w swoim środowisku. Właściwie był człowiekiem o wszechstronnych zainteresowaniach, nieustannie się dokształcał, dużo czytał, był bardzo otwarty na sprawy i ludzi. To, czego sam się nauczył, zaraz bezinteresownie przekazywał innym, nie czerpał z tego korzyści, chociaż w domu żyło się bardzo skromnie.

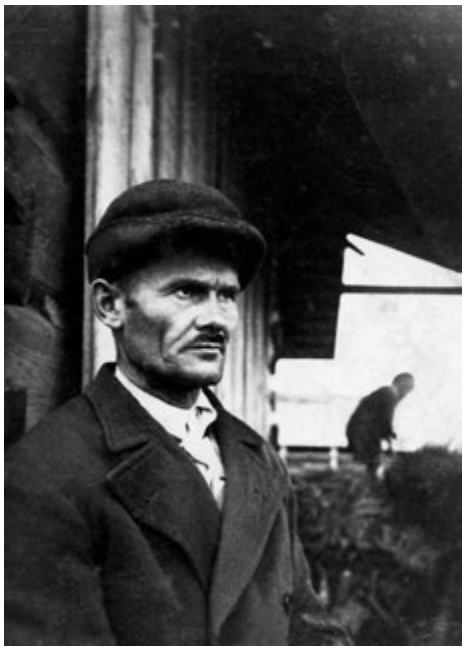

Jedną z wielu pasji Józefa stała się, nieupowszechniona jeszcze szerzej, uprawa warzyw i owoców oraz szkółkarstwo. W porozumieniu z dyrektorem szkoły powszechnej w Markowej, Józef Ulma założył przy tej szkole szkółkę drzew owocowych, do której przychodził raz w tygodniu, żeby prowadzić praktyczne zajęcia z ogrodnictwa dla dzieci szkolnych. Każde dziecko nauczył szczepić drzewka. Stare, Ulmowe jabłonie rodzą jeszcze owoce w Markowej i okolicznych wsiach.

Józef poznał też technologię pszczelarstwa i budował ule według swych oryginalnych projektów. W skansenie w Markowej stoją jego, zmurszałe już, ule. Działalność Józefa Ulmy została doceniona przez Okręgowe Towarzystwo Rolnicze jesienią 1933 r, na Powiatowej Wystawie Rolniczej w Przeworsku. Otrzymał na niej dyplomy: „Za pomysłowe ule i narzędzia pszczelarskie własnej konstrukcji” oraz ▶▶

„Za wzorową hodowlę jedwabników i wykresy ich życia". Sadzone przez niego drzewa morwowe, którego liśćmi żywią się jedwabniki, do dziś rosną w Markowej. Jedwabniki sprowadziły nawet do skromnej zagrody Ulmów starostę powiatowego i ziemianina z Przeworska – Andrzeja Lubomirskiego, który był pod wielkim wrażeniem osiągnięć prostego chłopa.

Józef Ulma czerpał swoją wiedzę z książek i czasopism. Miał własny księgozbiór, z którego zachowały się jeszcze niektóre publikacje: „O drenowaniu", „Podręcznik elektrotechniczny", „Wykorzystanie wiatru w gospodarce", „Radiotechnika dla wszystkich", „Przemysł drobny", „Przyroda i technika", „Dzicy mieszkańcy Australii", Atlas geograficzny", Słownik wyrazów obcych", „Podręcznik fotografii". Naprawdę, imponujące zainteresowania! Józef kochał książki, zajmował się też introligatorstwem.

Wielką pasją Józefa Ulmy była fotografia. Sam złożył z części aparat fotograficzny i często nosił go przy sobie. Gdy widział coś ciekawego, od razu robił zdjęcie. Wiele jego zdjęć zachowało się do naszych czasów. Fotografował nie tylko swoją rodzinę czy miejscowe uroczystości, ale także robił zdjęcia na zamówienie, do dokumentów, dzięki czemu był znany w całej okolicy. Józef Ulma złożył też aparat radiowy, a także zbudował wiatrak i urządzenie do wytwarzania energii elektrycznej – w ubogiej chacie Ulmów zapaliła się pierwsza we wsi żarówka!

W Markowej panował przyjazny klimat dla samouków i społeczników. Wieś, wraz z okolicą, była terenem silnych wpływów ruchu ludowego. Poza polityczną działalnością Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast", tworzono i wspierano wiele inicjatyw społecznych i kulturalnych. Działający w sąsiedniej Gaci, Wiejski Uniwersytet Orkanowy, ściągał do gminy ówczesnych przedstawicieli inteligencji chłopskiej, co zaowocowało w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku powstaniem lokalnej, nowoczesnej, chłopskiej elity. Współtworzył ją i w takim klimacie wzrastał Józef Ulma. Często dyskutował z przyjeżdżającymi do Markowej działaczami ludowymi i spółdzielczymi, którzy zakładali pierwszą w Polsce wiejską spółdzielnię zdrowia, w co się też zaangażował. Sam założył spółdzielnię mleczarską, której przez pewien czas był prezesem. Działał też w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży, a później w Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici".

7 lipca 1935 r. Józef Ulma ożenił się z sąsiadką, młodszą od niego o 12 lat, Wiktorią Niemczak. Wiktoria, urodzona w 1912 r, była 13-stym spośród 14-ściorga dzieci Jana i Franciszki Niemczaków, z których siedmioro zmarło w dzieciństwie. Jako najmłodsze dziecko, Wiktoria doświadczyła, czym jest miłość rodzicielska, siostrzana i braterska oraz wzrastanie w wielodzietnej rodzinie, w dużym gospodarstwie. Matka zmarła, gdy Wiktoria, miała 6 lat. Dzieci wychowywał ojciec i starsze rodzeństwo. Codzienność życia wiejskiego tamtej epoki to drewniany dom, skromny i ciasny, jak

na nasze dzisiejsze realia, ziemia i ciężka praca na niej, a także w obejściu, w którą były włączane dzieci, według swoich możliwości, wspólne, proste posiłki i wspólna modlitwa całej rodziny. Rodzice często zabierali ze sobą młodsze dzieci, gdy szli do prac polowych, żeby mieć je na oku. Większe dzieci uczęszczały do szkoły powszechnej przez kilka lat, ale w miarę potrzeby włączano je do prac polowych i gospodarskich. W ten sposób każde dziecko, wychowane na wsi, potrafiło wykonywać prace gospodarskie. W czasie jesienno-zimowym gospodynie organizowały dla chętnych specjalne kursy gotowania, pieczenia i szycia. Dom rodziny Niemczaków był domem otwartym i często służył za miejsce takich spotkań. Natomiast, podczas wojny, w ramach tych kursów, w konspiracji, prowadzono w domu Niemczaków szkolenia dla sanitariuszek.

Wiktoria, w czasach młodości, należała do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, uczęszczała na wykłady Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego w Gaci, była też członkiem teatru amatorskiego. Wychowywana w dużej rodzinie, była wyczulona na potrzeby innych i charakteryzowała się dużą wrażliwością na drugiego człowieka – nigdy nie przeszła obojętnie obok płaczącego dziecka czy kogoś potrzebującego.

Wiktoria była wysoka i dobrze zbudowana, miała jasną karnację, ciemne włosy i błękitne oczy w czarnej oprawie. Uchodziła za urodziwą pannę. Z usposobienia była pogodna, cicha i małomówna, skłonna do refleksji. Miała potrzebę częstego zaglądania do Pisma Świętego i szukania siły w Słowie Bożym.

Małżeństwo Józefa i Wiktorii Ulmów zamieszkało na jednohektarowym gospodarstwie, w niewielkiej, drewnianej chacie z poddaszem, na skraju wsi Markowa. Co roku przychodziły na świat dzieci: Stasia w 1936 r, Basia w 1937 r, Władziu w 1938, Franuś w 1940 r, Antoś w 1941 r i Marysia w 1942 r. Józef ciężko pracował, ale niewielkie gospodarstwo przynosiło skromne dochody. Liczne fotografie, jakie pozostały z tamtych lat, dokumentują fakt, że Ulmowie, pomimo swojego materialnego ubóstwa, byli w stanie zapewnić dzieciom szczęśliwe i spokojne życie. Podstawą szczęśliwej rodziny jest bowiem miłość między mężem i żoną oraz miłość ich obojga, przenoszona na dzieci. *„Jak on był za nią!”* – wspominała krewna Wiktorii, Stanisława Kuźniar. Na etapie dzieciństwa potrzeby materialne są zminimalizowane, ale poczucie bezpieczeństwa i zaufanie do rodziców jest podstawą rozwoju dziecka. Dzieci Ulmów były radosne, miłe, grzeczne i posłuszne; rówieśnicy lubili się z nimi bawić. Edukacja w domu Ulmów była ważna. Stasia, która chodziła do szkoły, uczyła się dobrze i pomagała rówieśnikom w nauce. Zachowało się wiele zdjęć dzieci, przeglądających książki.

Józef Ulma dorabiał robieniem fotografii i prowadzeniem szkółki drzew owocowych. Za zgromadzone

oszczędności, w 1939 r, kupił wraz ze szwagrem, kilkanaście hektarów ziemi w Wojsławicach koło Sokala, na wschodzie. Cieszył się zakupioną ziemią, żyznymi czarnoziemami, które zapewniłyby dostatniejsze życie powiększającej się rodzinie. Przygotowywał się do przeprowadzki. W przeprowadzce przeszkodził jednak wybuch II wojny światowej. Józef Ulma został powołany do wojska, walczył w kampanii wrześniowej, udało mu się wrócić do domu.

Już od pierwszych dni wojny Niemcy przystąpili na okupowanych terenach do eksterminacji ludności, w pierwszej kolejności – żydowskiej. W Markowej, liczącej przed wojną 4500 mieszkańców, społeczność żydowska nie była zbyt liczna – tworzyło ją 30 rodzin, około 120 osób. Po wkroczeniu Niemców zostali oni pozbawieni wszelkich praw. W październiku 1941 r. na rozwieszonych afiszach, mieszkańcy Markowej odczytali rozporządzenie gubernatora okupowanych ziem polskich, Hansa Franka: *„Żydzi, którzy bez upoważnienia opuszczą wyznaczoną im dzielnicę, podlegają karze śmierci. Tej samej karze podlegają osoby, które takim Żydom świadomie dają kryjówkę.”* Na terenie Europy, tylko w Polsce groziła kara śmierci za ukrywanie Żydów.

Żydzi uciekali z miast, w których tworzono dla nich getta i próbowali ukryć się na wsiach. W Markowej Niemcy urządzali regularne polowania na Żydów. Zawsze kogoś złapali. Żydów rozstrzeliwano na dawnym okopie, na skraju wsi, w pobliżu domu Ulmów. Józef i Wiktoria nie tylko słyszeli strzały, ale i widzieli egzekucje. Okna ich domu wychodziły prosto na okop, odległy zaledwie o kilkaset metrów. Żydów przed rozstrzelaniem jeszcze bito, a potem sami musieli kopać sobie grób.

Wśród mieszkańców Markowej byli tacy, którzy mimo grożącej im kary śmierci, ukrywali Żydów w swoich domach, często przez wiele miesięcy. Jedną z takich rodzin byli Wiktoria i Józef Ulmowie. Na strychu ich niewielkiego domu schroniły się dwie rodziny żydowskie, w sumie 8 osób: Saul Goldman z Łańcuta, z czterema dorosłymi synami oraz sąsiedzi rodzinnego domu Józefa Ulmy – Lea Didner z siostrą Gołdą Grunfeld i małą córeczką. Ulmowie mieli już sześcioro dzieci, w maju 1944 r. Wiktoria spodziewała się kolejnego dziecka.

Ulmowie, przyjmując pod swój dach Żydów, byli świadomi konsekwencji, jakie mogą ponieść. Ich dom stał wprawdzie na uboczu, ale tajemnicy i tak nie udało się utrzymać. Sami też zbytnio jej chyba nie strzegli. Uwagę zwracała duża ilość wyprawianych skór, w czym pomagali Józefowi synowie Goldmana. Przychodzący robić zdjęcia do dokumentów, widzieli obcych, kręcących się w obejściu, słyszeli odgłosy, dochodzące z poddasza.

Braci Goldmanów znał posterunkowy z Łańcuta, Włodzimierz Leś. Przed wojną sprzedał im konia, a w czasie okupacji dał im schronienie w zamian za otrzymanie części ich majątku. Gdy sytuacja się zaostrzyła i za pomoc Żydom zaczęła grozić realnie kara śmierci, Leś przestał udzielać Goldmanom pomocy. Musieli więc szukać sobie innej kryjówki. Udali się wtedy do znajomych gospodarzy

z Markowej – Ulmów, którzy ich przyjęli pod swój dach. Goldmanowie jednak nachodzili Lesia i domagali się od niego zwrotu nadpłaconego majątku, za pomoc, której zostali pozbawieni. Naciski Goldmanów i obawa, że straci żydowski majątek oraz zbliżający się koniec wojny, spowodowały, że Leś zdecydował się zdradzić kolegom z żandarmerii niemieckiej, miejsce ukrywania się żydowskiej rodziny. Dowiedział się, że przebywają u Ulmów i przyszedł, pod pretekstem zrobienia zdjęcia, żeby sprawdzić, czy Żydzi rzeczywiście tam są. Goldmanowie nawet specjalnie się nie kryli, przecież znali się z Lesiem. Leś prawdopodobnie powiadomił Niemców o Goldmanach, ukrywających się u Ulmów.

Minął już ponad rok, odkąd Żydzi zamieszkali w domu Ulmów. Wojna dobiegała końca, rosła nadzieja na przetrwanie. 24 marca 1944 r, tuż przed świtem, żandarmi i granatowi policjanci z Łańcuta, na furmankach dotarli do gospodarstwa Ulmów i otoczyli je. Wkrótce, w ciszy nocnej, rozległo się kilka strzałów. Jako pierwsi zginęli, jeszcze podczas snu, dwaj bracia Goldmanowie i Gołda Grunfeld. Wtedy Niemcy wezwali furmanów, którymi byli Polacy, aby patrzyli, jak dokonują mordu, co miało odstraszyć innych od pomocy Żydom. Następnie zastrzelono kolejnego z braci Goldmanów, Leę Didner z małym dzieckiem i Saula Goldmana z synem. Przed dom wyprowadzono Józefa i Wiktorię i tam ich zastrzelono. *„W czasie rozstrzeliwania, na miejscu egzekucji, słychać było straszne krzyki, lament ludzi, dzieci wołały rodziców, a rodzice już nie żyli. Był to wstrząsający widok”* – zeznał potem jeden z furmanów.

Wśród krzyku i płaczu dzieci, żandarmi zastanawiali się, co z nimi zrobić. Po krótkiej naradzie dowódca zadecydował, że ich także należy rozstrzelać. Dzieci ginęły pośród okrzyków żandarma: *„Patrzcie, jak giną polskie świnie, które przechowują Żydów!”* Od kul zginęły wszystkie dzieci Ulmów: Stasia, Basia, Władziu, Franuś, Antoś i Marysia. Zapanowała cisza. Świtało, wstawał nowy dzień. Na podwórku i w chałupie, w kałużach krwi, pozostały zwłoki 17 osób…

Niemcy wezwali sołtysa, Teofila Kielara, aby pochował zamordowanych. Gdy ten zapytał dowódcę, dlaczego zastrzelono również dzieci, usłyszał: *„Żeby gromada nie miała z nimi kłopotu”*.

Po zbrodni Niemcy przystąpili do rabunku. Mieszkańcom Markowej, sprowadzonym do kopania grobu, nakazano przeszukanie zamordowanych Żydów i zabrano, co się dało. Inni Niemcy rabowali skromny dobytek Ulmów – zabrano skrzynie, materace, łóżka, naczynia, wyprawione skóry.

Przywołanym ludziom rozkazano znieść zamordowanych ze strychu i wykopać duży dół. Jeden z sąsiadów Ulmów podszedł do Niemca i poprosił, żeby Żydzi i katolicy zostali pochowani oddzielnie. Prośba ta zdenerwowała żandarma – strzelił on w jego stronę, dziurawiąc trzymane przez niego wiadro. Ostatecznie Niemcy zgodzili się na wykopanie dwóch dołów, w których umieszczono osobno zamordowanych Polaków i Żydów. Pobyt morderców zakończył się libacją na miejscu zbrodni. Niemcy zawołali sołtysa i naubliżali mu, że nic nie wiedział o ukrywanych Żydach. Żandarmi lubili wódkę, więc sołtys posłał po nią syna i spił ich. Wtedy pijanych, wraz ze zrabowanym dobytkiem Ulmów, wywieziono do Łańcuta.

Wiadomość o śmierci Ulmów i ukrywanych przez nich Żydów, szybko obiegła całą wieś. Wszyscy słyszeli strzały i strach sparaliżował wszystkich, a szczególnie tych, którzy ukrywali Żydów. Mimo surowego niemieckiego zakazu, po kilku dniach, nocą, pięciu mężczyzn odkopało wrzucone do dołu ciała Ulmów, chcąc dokonać chociaż częściowo godnego pochówku. Szwagier Wiktorii, który był stolarzem, z desek przygotowanych na nowy dom Ulmów w Wojsławicach, zbił 4 skrzynie. Przy Józefie i Wiktorii ułożono po jednym, młodszym dziecku, a starsze po dwoje w jednej trumnie. Trumny z powrotem umieszczono w prowizorycznym dole koło domu, który przez jakiś czas funkcjonował jako rodzinny grób Józefa, Wiktorii i ich dzieci. Podczas przekładania ciał okazało się, że ta trudna i bolesna ostatnia przysługa oddana bliskim, odsłoniła nieznaną wcześniej tajemnicę. Jeden z naocznych świadków egzekucji i nowego pochówku, furman, zeznał, że gdy przekładali ciało Wiktorii, zobaczył *„nie do końca urodzone dziecko. Na zewnątrz widniała główka i ramiona nienarodzonego dziecka”*.

Na cmentarz parafialny rodzinę Ulmów przeniesiono dopiero 17 stycznia 1945 r.

I taka była historia Rodziny Ulmów, zwanymi od dawna, w tamtejszym środowisku, Markowskimi Samarytanami. Pół wieku po tych tragicznych wydarzeniach, bratanek Wiktorii Ulmy, Stanisław Niemczak, dowiedział się z jakiejś gazety, że ludzie za pomoc niesioną Żydom podczas wojny, otrzymują medal Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Wspomniał wtedy o Ulmach, swoich tragicznie zmarłych krewnych, którzy nie tylko nieśli pomoc, ale i zginęli za ratowanie Żydów. Rozpoczął więc starania o medale dla cioci i wujka, które izraelski Instytut Yad Vashem, 13 września 1995 r. przyznał obojgu.

Proces beatyfikacyjny Rodziny Ulmów trwał od 2003 r. 17 grudnia 2022 r. papież Franciszek zatwierdził

dekret o męczeństwie rodziny Józefa i Wiktorii Ulmów oraz ich siedmiorga dzieci, zamordowanych 24 marca 1944 r. przez Niemców, za ukrywanie Żydów. 10 września 2023 r, w Markowej, cała ta Rodzina została włączona do grona błogosławionych.

W Markowej końca wojny doczekało 21 Żydów. Ukrywało ich kilka markowskich rodzin. Szacuje się, że na ziemiach polskich, dzięki pomocy Polaków, przeżyło prawdopodobnie między 30 a 100 tysięcy Żydów.

Po wkroczeniu armii sowieckiej, żołnierze Armii Krajowej wykonali 10 września 1944 r. w Łańcucie wyrok śmierci na Włodzimierzu Lesiu, który prawdopodobnie doniósł Niemcom o Żydach, ukrywających się u Ulmów.

Józef Ulma miał żonę, gromadkę dzieci, szerokie zainteresowania, zakupioną ziemię, plany na przyszłość. Nikt nie robiłby mu zarzutu, gdyby chroniąc najbliższą rodzinę, nie przyjął swych żydowskich sąsiadów, uciekających przed śmiercią. Przecież jemu i jego rodzinie też za to groziła śmierć! W ostatecznej sytuacji Józef wybrał heroizm, człowieczeństwo, nie poszedł na żaden kompromis.

Czy Rodzina Ulmów może być dzisiaj dla nas wzorem do naśladowania? Do naśladowania nie tylko miłości małżeńskiej i rodzinnej, otwartości na nowe życie, ale także miłości bliźniego aż do własnej śmierci? Pan Bóg w Dekalogu powiedział : *„Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”,* a więc nie mniej, ale także i nie więcej. Jak siebie samego… Tak więc wybór postępowania Ulmów wobec bliźnich to nie standard, to bohaterstwo!

„Nie można od ludzi wymagać bohaterstwa” – powiedział mi duszpasterz akademicki w stanie wojennym. Takie, a nie inne postępowanie Ulmów, to ich dobrowolny wybór, to zdanie się na Słowo Boże i wolę Bożą oraz zaakceptowanie jej w swoim życiu i życiu swoich dzieci. To powiedzenie całemu światu, że wielką wartością jest życie, które daje Bóg, ale większą wartością jest odczytanie woli Bożej i wypełnienie jej.

Ulmowie nie byli jedyną rodziną w Markowej, która ukrywała Żydów i im pomagała. Mogli przeżyć wojnę tak, jak ich sąsiedzi, tylko czy my dzisiaj byśmy o nich wiedzieli? Czy świat współczesny, coraz bardziej egoistyczny i materialistyczny, odchodzący od wiary w Boga, od poszanowania życia – zobaczyłby wartość życia ludzkiego, życia od poczęcia do naturalnej śmierci, sens pomocy bliźniemu i życia Słowem Bożym?

To rzecz niezwykła, ale to pierwszy przypadek w ponad dwutysiącletniej historii Kościoła, gdy beatyfikowane zostało nienarodzone dziecko, nawet o niewiadomej płci! Może tak się stało, żeby tym dobitniej zaświadczyć, że dziecko w łonie matki to Człowiek, człowiek

z duszą i ciałem, stworzony na obraz Boży? Człowiek, który jest *„jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego”* (Jan Paweł II, encyklika „Veritatis splendor”). Jakże więc człowiek może niweczyć plany Boże, przerywając życie?

„Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Czy dzisiaj muszę umierać za bliźniego? Jak to „umierać”? Przecież to nie te czasy, że coś mi grozi, że muszę oddać swoje życie. Ależ tak, codziennie mogę oddawać swoje życie za bliźniego, bo codziennie mogę obumierać sobie, oddając bliźniemu swój czas, swoją uwagę, swoją energię, swoją pomoc, wreszcie swoje pieniądze, by go wesprzeć w niedostatku. To nie musi byś jakiś anonimowy bliźni na Ukrainie czy w Palestynie, to może być mój stary, niedołężny rodzic czy schorowany współmałżonek, dziecko – nawet dorosłe, ale samotne, nieporadny dorosły, nieradzący sobie w życiu, niezbyt lubiany sąsiad, który akurat potrzebuje pomocy…

Dać siebie, dać swój czas, uwagę, serdeczność komuś, to zabrać sobie, pozbawić się czegoś, czyli …obumrzeć. To współczesne męczeństwo, męczeństwo w zasięgu naszych możliwości. Tego uczy nas Rodzina Ulmów.

Ale uczy nas także jeszcze czegoś innego. Uczy stanięcia po stronie prześladowanego Żyda. Żyda prześladowanego niezmiennie od tysiącleci, Żyda coraz bardziej wyrzucanego poza margines życia współczesnego człowieka, Żyda, nierozumianego, do którego coraz trudniej się przyznać. Tak, do Żyda, Jezusa Chrystusa…

Przyznając się do Jezusa, żyjąc według Jego praw i nakazów, świadcząc o Nim słowem i czynem, nie ryzykujemy życiem, jak Ulmowie. To naprawdę nie grozi śmiercią, najwyżej tylko zdziwieniem otoczenia, może krytyczną uwagą, najwyżej kpiną i wyśmianiem… Czy to wysoka cena? Czy mnie na nią stać?

My też mamy szansę „ocalić Żyda”, tu i teraz. On prosi nas o życie, życie w nas, naszą zgodę na Jego wolę w naszym życiu, miejsce w naszej pamięci i naszych czynach, a przede wszystkim w naszych sercach. Prosi, aby mógł żyć w naszych rozmowach z innymi ludźmi, szczególnie tymi, którzy Go nie znają. Przez nas pragnie przyjść ze Swoją Dobrą Nowiną do każdego człowieka. Podjęcie tego wezwania to też forma współczesnego męczeństwa.

Autorka korzystała z informacji, zawartych w książkach:

1. M. Szpytma, J. Szarek: „Rodzina Ulmów”;
2. M.E. Szulikowska: „Wiktoria Ulma. Opowieść o miłości”.

ks. Grzegorz Marczuk SAC

Pustynia cz. II

Słońce było już wysoko i upał stawał się nie do zniesienia. Kemal spostrzegł dwie wystające ponad płaskim terenem skały i tam skierował swoje wielbłądy.

Kiedy przybyli na miejsce, wydało się one odpowiednie do przeczekania najgorętszych godzin południa w cieniu skał. Podobne plany mogła mieć rogata żmija pustynna leżąca w samym środku zacienionego terenu, do połowy zanurzona w piasku. Przewodnik pierwszy zobaczył zwierzę i chwyciwszy kamień przycisnął jej głowę. Zaraz potem dobył swój zakrzywiony, ostry nóż i nie zważając na rozpaczliwe ruchy reszty ciała, odciął żmii głowę. Następnie schował martwe już zwierzę do worka. Zanim pozwolił Europejczykom usiąść, przeszedł się jeszcze wzdłuż nagich skał i zdeptał dwa małe skorpiony. Potem podszedł do jednego z wielbłądów, wypił obfity łyk wody i zarządził odpoczynek.

Gdy usadowił się już wygodnie i przymknął oczy, niemal natychmiast pojawiło się w jego głowie pierwsze zapamiętane wydarzenie z dzieciństwa. Chwilę walczył, nie chcąc znów pogrążać się w tych myślach, lecz w końcu, w półśnie pozwolił się ogarnąć wspomnieniu. Nie widział twarzy żadnego człowieka, tylko rękę, silną, ogorzała od słońca, trzymającą bicz ze skóry wielbłąda, która zadawała mu razy, rozcinające jego dziecięca delikatną skórę. Tych smagnięć było sześć. Dokładnie tyle, bo do tej pory dało się je policzyć na jego plecach. Nie odczuwał teraz żadnych emocji, był jak obserwator, który widzi wiele szczegółów tego, co zaszło. Pamiętał głos, męski, nieco ochrypły: „to cię nauczy, żeby być posłusznym!” Dziwne, że nie pamiętał twarzy tego człowieka, nie pamiętał też sylwetki. Tylko ręka i głos. Kim był ten człowiek? Jakie miał prawo karać dziecko? Tego nigdy się nie dowiedział. Jednak słowa głęboko wryły się w jego pamięć. Wcześniej, gdy był młodzieńcem, rozpamiętując tę sytuację, wyobrażał sobie, jak ucieka przed mężczyzną, albo jak używając sprytu chwyta za bicz i wyrywa go, albo wreszcie jak chowa się w jakimś ciemnym miejscu najbliższej lepianki i oprawca nie może go znaleźć. Kiedy jednak trochę podrósł stwierdził, że to tylko marzenia i zawsze byłby doścignięty, obezwładniony, znaleziony. Pozostało tylko jedno, być posłusznym. I takim wobec każdego autorytetu starał się być, choć nie do końca świadomie.

Z tych rozważań Kemal ocknął się nagle. Zaniepokojony lekkim, jednak charakterystycznym powiewem podniósł się z miejsca i ruszył w stronę cudzoziemców. Nie spali, toczyli ze sobą jakąś ożywioną, choć cichą, rozmowę. Kiedy się zbliżył przerwali nagle. Wywnioskował z tego, że nie chcą przy nim rozmawiać o swojej sekretnej misji. Aby zamaskować niezręczną ciszę, która nastała, jeden z nich odezwał się:

To kiedy ruszamy?

Już czas – odpowiedział Kemal – i przygotujcie się na Ghibli.

Co to takiego? Czy to wiatr?

Tak, bardzo silny wiatr, który potrafi odrywać kawałki ubrania albo porywać źle zamocowane juki. Jeśli się uda, to znajdziemy jakieś osłonięte od wiatru miejsce. I lepiej, żebyśmy znaleźli.

Nieco przestraszeni podnieśli się szybko. Zebrali z ziemi maty i rozebrali prowizoryczny namiot, który składał się z kija i kawałka tkaniny, mającej dać trochę więcej cienia. Kemal zauważył, że wysoki Riccardo, który miał objuczyć osła, wepchnął głęboko pod inne rzeczy coś, co wyglądało jak owinięta w płótno nieduża szkatułka. Zdawało się, że to jest najcenniejsza rzecz, którą chciał ochronić. Przez głowę przemknęło Kemalowi, że ma do czynienia z przemytnikami haszyszu, stąd sekret ich podróży i wysokie wynagrodzenie, które obiecywali. Na razie jednak nie chciał się zajmować rozwikłaniem tej tajemnicy wobec zbliżających się trudności.

Dość szybko udało im się zebrać wszystkie baraże i już po kilkunastu minutach byli z powrotem w drodze. Początkowo wiatr nie wydawał się problemem, wiał spokojnie, nawet nie unosząc wiele kurzu z kamienistego raczej podłoża. Po mniej więcej godzinie jednak stał się dokuczliwy, utrudniając posuwanie się naprzód. A w następnej godzinie doświadczyli już całej siły tego żywiołu. Nikt prócz przewodnika nie spodziewał się takiej jego mocy. Nie tylko prawie nie mogli posuwać się naprzód, hamowani przez gorący powiew – jakby z wnętrza pieca, ale byli też nieustannie uderzani przez małe kamyczki, które wiatr wyrywał z podłoża. Wydawało się, jakby cała pustynia z gniewem chciała zakończyć ich podróż. Szli jednak dalej z dużym wysiłkiem ciągnąc na sobą zwierzęta.

Wreszcie doświadczony przewodnik wyczuł raczej, po jakiś tylko dla niego czytelnych znakach skalisty kanion znajdujący się kilkaset metrów przed nimi po prawej stronie. Jego spłaszczone i wygładzone wiatrem granie mogły dać im schronienie. Kiedy wreszcie udało się im dotrzeć na skraj wąwozu w pierwszym momencie poczuli jeszcze mocniejsze uderzenie skanalizowanego wiatru. Jednak postępowali za Kemalem, jakby wbrew logice. On znał to miejsce i może na wpół bazując na intuicji, a na wpół pamięci, zaprowadził ich pomiędzy skały. Jeszcze chwilę zajęło zanim udało

się znaleźć zasłoniętą od wiatru szczelinę, wystarczająco dużą dla niech i zwierząt. Kiedy już tam weszli padli bez siły.

Wiatr wciąż wiał, a jego szum potęgowały otaczające skały. Nie było mowy, żeby dzisiaj pójść jeszcze dalej. Zdjęli więc wszystko ze swoich zwierząt i siedzieli bezsilni. Zwierzęta też wyglądały na wycieńczone tym marszem. Nawet ciekawskie zazwyczaj wielbłądy, rozglądające się za czymś do jedzenia, teraz położyły się, podwijając swoje długie nogi i dyszały ciężko. I tak przesiedziały najbliższe dwie godziny.

Z nastaniem wieczora wiatr niespodziewanie zaczął cichnąć, a kiedy już świat spowiły ciemności ustał zupełnie. Nastała zadziwiająca cisza, w której z pewnej odległości można było usłyszeć oddech zmęczonych wielbłądów i osła. Ludzie mogli pomyśleć o ogniu i noclegu. Zaczęła się krzątanina wokół zapalonej lampy olejowej. Znaleziono suche przyniesione wiatrem, pozwijane krzewy, które świetnie posłużyły jako opał do rozpalonego ogniska. Z zapasów wody, zaczęto przyrządzać aromatyczną i słodką herbatę, a Kemal wydobył z torby mięso zabitego przed południem węża, by przyrządzić je według jakiegoś sobie znanego przepisu. Atmosfera pomimo zmęczenia była dobra. Europejczycy rozmawiali o planach na dalszą drogę i przeglądali jakieś przywiezione ze sobą mapy. Jeden z nich, nazywany przez pozostałych Lorenzo, zwrócił się do Kemala, który właśnie podszedł w pobliże zapalonej lampy:

Czy możesz mi pokazać gdzie dokładnie jesteśmy?

Nie mogę, nie znam się na waszych mapach. – To mówiąc pochylił się i narysował palcem na piasku umiejscowienie kilku skał na ich drodze, poźniej za skałami oazę Gara. I wreszcie stwierdził:

Tyle na razie wystarczy.

Pozostali popatrzyli na odchodzącego w kierunku wielbłądów beduina z poczuciem zagubienia. Przez chwile próbowali jeszcze odnaleźć wyrysowane na piasku skały i maleńką oazę na mapie, ale byli skazani na niepowodzenie.

Po jakimś czasie wszyscy wreszcie zasiedli przy ognisku. Ogień wydawał się tak przyciągający, że nie dało się stać od niego z daleka. Odczuli na sobie, że pomimo różnicy ras są istotami zależnymi od światła, które ich przyciąga, podnosi na duchu i wskazuje drogę. Są też istotami społecznymi, które, zwłaszcza w poczuciu dyskomfortu i lęku, szukają instynktownie towarzystwa i czują się bezpieczni mając przy sobie innych ludzi. Po kolacji składającej się z mięsa węża, kilku daktyli i herbaty osłodzonej dużą ilością cukru najstarszy Giovani zagadnął przewodnika:

Kemalu mówiłeś, po drodze, że nie chcesz być nazywanym niewiernym, ale nie widziałem, żebyś modlił się jak Muzułmanie w stronę Mekki. Nie wyglądasz też na Chrześcijanina… Czy ty wierzysz w Boga?

To jest złe pytanie – odpowiedział po chwili Kemal – ja nie wierzę w istnienie Boga, jak wiem, że On jest. Kiedy żyjesz na pustyni, to po prostu czujesz Jego obecność. Nie tylko Stwórcy tego wszystkiego, ale Ducha, który przenika wszystko, skały i piasek, i bydło, i ptaki. Wiecie kiedy dzisiaj Ghibli wiał w nasze twarze, kiedy szliśmy naprzód i prawie nic nie było widać, to myślę, że Bóg odwrócił moją głowę w prawo. Wtedy wytężyłem wzrok i przez moment pomiędzy podmuchami wiatru zobaczyłem te skały. – na chwilę przerwał, a potem jakby do siebie powiedział: – Pamiętam to miejsce, byłem tu już wcześniej, ale tak łatwo mogliśmy je ominąć.

Wszyscy na chwilę zamilkli, rozważając wypowiedziane przez przez niego słowa. Giovani pogładził swoją brodę, a potem zapytał znowu:

Nie odpowiedziałeś jednak na moje pytanie. Czy jesteś Muzułmaninem, czy Chrześcijaninem? Kto cię pokierował Allach, czy Chrystus?

Nie wiem – szczerze odpowiedział przewodnik – wiem dużo o Chrześcijaństwie. Chrześcijanami byli moi przybrani rodzice. Powiedzieli mi o Jezusie i jego życiu. Powiedzieli jakich cudów dokonywał. Nawet nauczyli mnie kilku modlitw. A potem, kiedy miałem piętnaście lat, opuściłem ich i wyruszyłem po raz pierwszy w drogę przez pustynię z karawaną poczciwego Araba. On zaczął mnie uczyć pięciu mahometańskich zasad życia. Praktykowałem je przez jakiś czas. Ale modlitwa pięć razy dziennie sprawia mi problemy.

Nie modlisz się? – tym razem zapytał nieśmiało Lorenzo

A co to dla ciebie znaczy?

To znaczy mówić do Boga, to znaczy rozważać o Nim. To znaczy słuchać, co do nas mówi. I być w Jego obecności.

Więc chyba się modlę. Kiedy idę sam mówię do Boga. Kiedy wstaję rano i patrzę w stronę zaczerwienionego nieba przed wschodem słońca, to dziękuję Mu za to piękno. Czasem czuję, że mnie otacza i wtedy staram się wytężyć mój słuch, bo może do mnie przemówi… A wy się modlicie? – odwrócił pytanie Kemal.

Tak, my codziennie czytamy psalmy, to takie tradycyjne żydowskie pieśni, które mówią nam o Bogu – tym razem odpowiedział mu wysoki Richardo.

Wiem, co to są psalmy i widziałem was czytających je wspólnie. – mówiąc to powoli wstał i dorzucając do ognia kilka, ostrożnie podniesionych z ziemi, kolczastych gałązek przywianego przez wiatr krzewu dodał – Modlicie się czytając Bogu słowa napisane o nim przez innych? Ja tak nie potrafię. Znam modlitwy Chrześcijan i muzułmańską szahadę (powtarzam je sobie w głowie, kiedy długo idę, żeby nie zapomnieć). Jednak nie czuję się przez to bliżej Boga. – usiadł myśląc o słowach Europejczyka.

Tymczasem Richardo bardzo osobiście odczytał słowa Kemala. Wydało mu się, że krytykuje jego modlitwę

i stawia się wyżej od niego w sprawach życia duchowego. Jego wybuchowy temperament zaczął w nim wzbudzać uczucie gniewu, które na razie tłumił w sobie. Jedynie twarz, napływającą tam krwią, mogła zdradzać stan jego wnętrza.

Przewodnik jednak znów przemówił, wyrażając głośno swoje myśli:

Czegoś mi brakuje w waszej modlitwie. Chyba właśnie muzyki. Mówisz, że to były pieśni, a ja nigdy nie słyszałem was śpiewających. – Nie czekał na odpowiedź Europejczyka, który coraz bardziej pobudzony, chciał wyjaśnić, że w ich ojczyźnie czasem śpiewają psalmy i że ta modlitwa może być bardzo osobista…, kontynuował swój monolog. – Czasem, kiedy budzę się rano i spoglądam na wielką pustynię, zdziwiony czuję, że nie jestem sam, wiem że ktoś jest przy mnie. Myślę, że ten Ktoś był ze mną przez całą noc. Albo kiedy patrzę na gwiazdy i aż dreszcz mnie przechodzi od ich ilości i piękna, wtedy wiem, że Bóg mi je pokazuje. I nie pytam Go wtedy kim jest, czy Allachem, czy Chrystusem…

Przestań, skończ już – wykrzyknął Richardo podrywając się na nogi. – Ty głupi beduinie, nic nie wiesz na temat modlitwy, nic nie wiesz o Jezusie. Jesteś analfabetą i nieukiem. A twoje duchowe doświadczenia pewnie są dziełem demonów…

W tej chwili zamilkł, bo Kemal momentalnie zerwał się na nogi, w mgnieniu oka przeskoczył odległość ich dzieląca. W tym samym czasie dobył swój zakrzywiony nóż i przyłożył go do gardła Włocha, który jakby zamarł. Stali naprzeciw siebie przez kilka sekund. Kemal o głowę niższy pochwycił lewą ręką ubranie Włocha pod szyją, a ostrzem noża trzymanym w prawej ręce dotykał szyi cudzoziemca. Richardo zaś szybko i zauważalnie zmieniał się na twarzy. Z początkowego gniewnego uniesienia jego twarz zmieniała się w zdziwioną, a za chwilę przerażoną, a płonące początkowo przymrużone oczy otwarły się w strachu szeroko. Zapomniał wszystkiego, co chciał powiedzieć, nie potrafił wydusić z siebie słowa.

– Nie zabije cię, człowieku zza morza – powiedział powoli Kemal mocno i dobitnie wpatrując się w oczy swojego Włocha. W całej postawie, a także w sposobie mówienia wyczuwało się siłę i zdecydowanie. – Uważaj na to, co mówisz na pustyni. Nie wszyscy będą tak wyrozumiali jak ja, bo jeśli nie zapanujesz nad sobą, zanim dotrzemy do Algieru, ktoś na pewno podniesie rękę na ciebie, a ja nie będę cię bronił.

Opuścił nóż, lecz wciąż przez chwilę wpatrywał się w oczy Richarda, w których można było wyczytać już tylko strach. Potem schował swój zakrzywiony nóż, odwrócił się do innych i powiedział:

Czas iść spać. Już za długo dziś rozmawiamy. c.d.n.

Jak prawidłowo odmawiać Różaniec

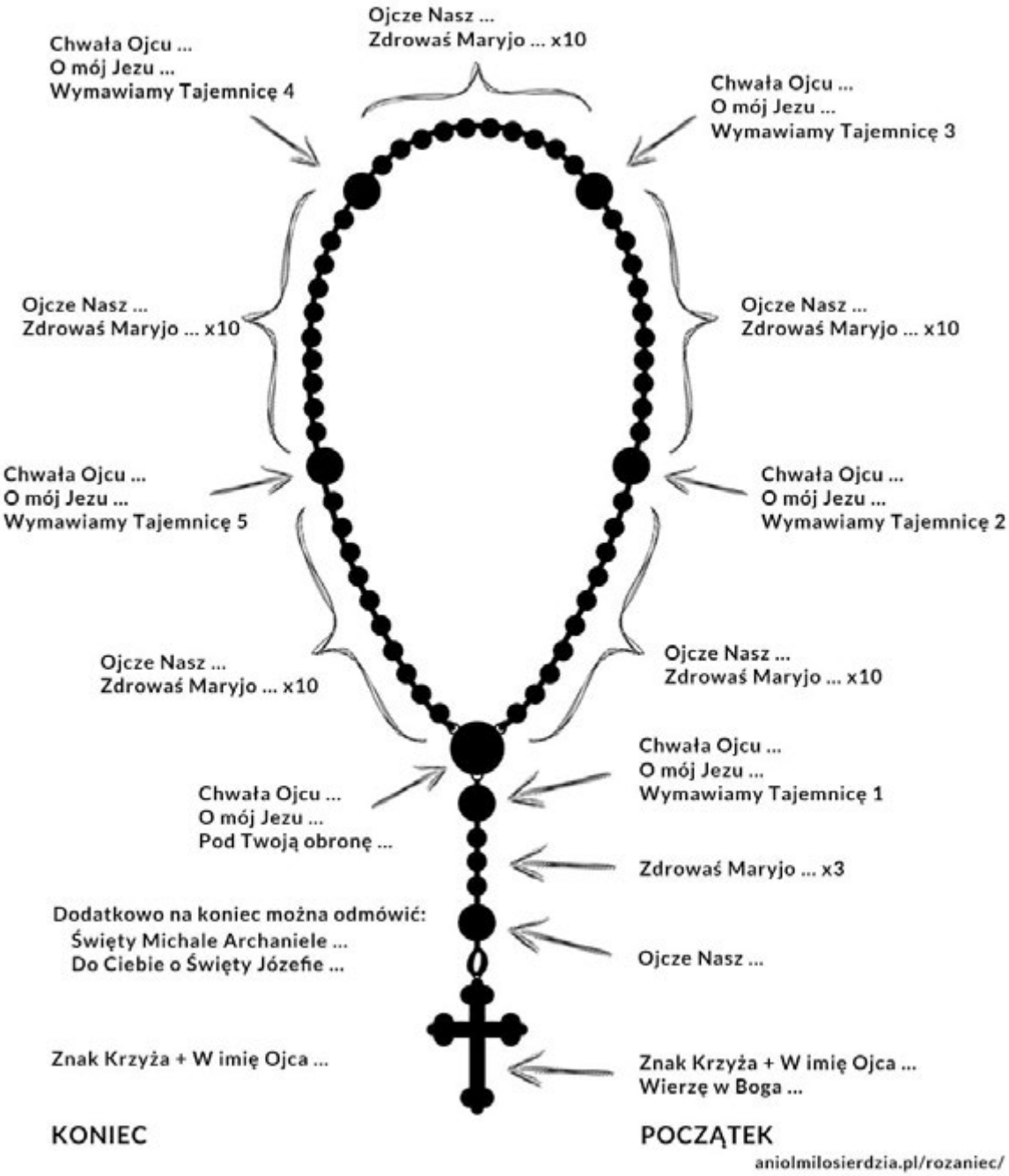

jadłodzielnia

Ożarów Mazowiecki

Częstujemy! Nie marnujemy!

Masz za dużo jedzenia? Nie wyrzucaj!
Podziel się, przynieś do jadłodzielni

Potrzebujesz? Poczęstuj się!
Weź z jadłodzielni

OTWARTE CAŁY TYDZIEŃ W GODZINACH 8:00-18:00

foodsharing

Sprężyny Biznesu

WSPÓLNOTY PARAFIALNE – TERMINARZ

MINISTRANCI – KANDYDACI – SOBOTY, GODZ. 10.15 GÓRNY KOŚCIÓŁ; MINISTRANCI, GODZ. 11.00 SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D.

LEKTORZY – WTORKI, GODZ. 19.00, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D

OGNISKO MISYJNE – CZWARTKI, GODZ. 16.30 – 18.00, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D

PALLOTYŃSKIE NUTKI – SOBOTA, GODZ. 14.00, SALKI PARAFIALNE WEJŚCIE D, NIEDZIELNA MSZA ŚWIĘTA O GODZ. 10.30 KOŚCIÓŁ GÓRNY

WSPÓLNOTA GRECKO-KATOLICKA – LITURGIA W KAŻDĄ SOBOTĘ O GODZ. 19.00 – KOŚCIÓŁ DOLNY

OCEAN MŁODYCH – 2. I 4. PONIEDZIAŁKI MIESIĄCA O 19:30, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D

PRZYJACIELE OBLUBIEŃCA – WTORKI, GODZ. 19.00 – KOŚCIÓŁ DOLNY

GRUPA MĘŻCZYZN ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOŁA – 2. I 4. PIĄTKI MIESIĄCA, KOŚCIÓŁ DOLNY, MĘSKI RÓŻANIEC W 3. PIĄTKI MIESIĄCA,

WSPÓLNOTA ŻYWEGO RÓŻAŃCA – 1. NIEDZIELE MIESIĄCA, GODZ. 16.15, KOŚCIÓŁ DOLNY

ZESPÓŁ Z 18-TEJ – NIEDZIELNA MSZA ŚWIĘTA O GODZ. 18.00

RUCH RODZIN NAZARETAŃSKICH – PONIEDZIAŁKI, PO MSZY WIECZORNEJ, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D

WSPÓLNOTA RODZIN BETANIA – PONIEDZIAŁKI, GODZ. 18, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D

WSPÓLNOTA KRWI CHRYSTUSA – CZWARTKI, GODZ. 19.00, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D.

KURS LEKTORSKI – ŚRODY, GODZ. 19.00, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D.

AKCJA KATOLICKA – CO DRUGI WTOREK, GODZ. 19.00, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D

WSPÓLNOTA AA – MITYNGI W PIĄTKI, GODZ. 20.00, SALKI PARAFIALNE, WEJŚCIE D